Nr. 29 (1073). Warszawa, dnia 7 (20) Lipca 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50. rocznie rb. 10.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 11 do 12 rano.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Ameryka i Europa.

Dzienniki północno-amerykańskie uderzyły teraz na Niemców: oskarżyły ich, ni mniej ni więcej, tylko o chęć rozszarpania Brazylii i usadowienia się w całej Ameryce południowej. Kolonizacya niemiecka w wielkiej od r. 1889 rzeczypospolitej federacyjnej, opanowanie handlowe i dyplomatyczne rzeczypospolitej chilijskiej, kołatanie do Peruwii—mają być widomymi znakami przyszłości może już niedalekiej, w której pobudka niemiecka powoła Europę do wyruszenia nad Amazonkę, Madejrę i Paranę — i zatknięcia tam sztandaru cywilizacyi, kultury i państwowości europejskiej. Są nawet dzienniki dość odważne do domyślania się już wiążącej mocarstwa starego kontynentu umowy o wspólny najazd i wspólny rozbiór Brazylii. Na początek mają wystąpić Niemcy w obronie swych kolonistów w Santa Catharina, w Paranie. W drugim z tych stanów wprawdzie przeważają Polacy, ale rząd pruski ma przecież u siebie w Europie Polaków pod swą władzą; to mu nadaje dostateczny tytuł i do Polaków w Brazylii: działając za Niemców, działać będzie i za narodowość podbitą. Widmo niemieckie wrzekomo tak już się groźnem stało, że zasadę „Ameryka dla Amerykanów,“ rozciągniętą na cały kontynent zachodni, jaką była już w r. 1823, w ruch puścić potrzeba. Południe jak północ Ameryki nigdy europejskiem nie będzie, a gdyby się o własnej sile utrzymać nie zdołało, utrzyma je siłą swoją północ: Ameryka dla Amerykanów.

Jako fakt dzisiejszy cała treść tych oskarżeń nie warta jest złamanego szeląga: zwykła gazeciarska paplanina, wyolbrzymianie much i wydymanie pęcherzy. Żadne państwo, żaden naród, społeczeństwo żadne w Europie nie spełniło jeszcze faktu pożądania dla siebie bądź Brazylii, bądź innej jakiej krainy południowo-amerykańskiej — bo o takim tylko fakcie mówić by można. Oskarżenie jest nieprawdziwem, nawet fałszywem; ale otwiera przed myślą widnokrąg, na krańcach dopiero świtający — widnokrąg energii europejskiej, szukającej dla siebie ujścia na zachodzie, jak go sobie już wyszukać zdołała na południu i wschodzie. Czasy to jeszcze dalekie — dla czynu, ale bliskie dla myśli, która czasy i przestrzenie zesuwa w chwile i punkta i krępować się może jednym tylko schematem — logiki. Dla myśli ta sprawa najazdu europejskiego na Amerykę nie jest tylko czczą pianą na fali, jest samą huczącą falą. Przyjdzie czas, kiedy fala uderzy i o brzegi rzeczywistości; przyjdzie czas, kiedy już nie dziennikarz, nie płocha, węże i jaszczurki z ust wyjmująca przed gawiedzią wielomówność i ciągłomówność dziennikarska, ale poważna myśl, posępna troska i rażna energia polityczna w Ameryce tamy przeciw najazdom fali europejskiej bić zaczną. Cała wielkość i cała sprężystość wielkiej rzeczypospolitej północnoamerykańskiej w dzisiejszej swej postaci nie wystarczą do nakazania ślepemu żywiołowi poszanowania własności i prawa: nie ten, kto cywilizacyjnie wyższy, ale ten, kto fizycznie silniejszy, będzie w górze. Ta tylko cywilizacya i kultura jest dla polityki płodną, która umie przy wyższej kulturze wytwarzać i większą fizyczną siłę. Ta polityka przemoże, która umie dzielniej z tej płodności korzystać.

A płodność europejska jest zadziwiającą; wszystko do niej zmierza, wszystko ją krzepi; militaryzm, rzeczywisty bóg świata, wspaniałe składa jej świadectwo. Stanom Zjednoczonym ani się do Europy nie umywać. Będą miały wprawdzie teraz zamiast trzydziestu dziewięćdziesiąt tysięcy stałego wojska, mają bardzo liczną milicyę, a raczej zarodnię milicyi; ale to wszystko, dobre na Amerykę samą, — jest farsą wobec Europy. I flota tych Amerykanów, choć dobra i liczna — wygląda jak baliczek na dziecinny stoliczek, gdy się ją obok angielskiej i niemieckiej lub francuskiej i rosyjskiej postawi. Dowiodła wprawdzie wielkiej energii i siły ojczyzna Waszyngtona, gdy w latach 1861—5 przeciwko magnateryi agrarnej stanów południowych bronić się musiała i szczęśliwie obroniła; ale co innego wojna domowa, a co innego sprawa z najazdem, który odrazu stu pancernikami i jakimi dwomakroćstotysiącami wojska natrze. Zmożenie Hiszpanii w r. 1898 było właściwie skutkiem niemocy hiszpańskiej, a nie potęgi amerykańskiej. Militarnie, chociażby jak najwięcej uczyniono do chwili sprawnej dla armii lądowej i morskiej, Stany Zjednoczone będą niższe. Przypuszczając równą siłę mięśniowo-terytoryalną, niepodobna będzie przypuścić równej siły duchowo-militarnej. Rozkwitowi jej, dorównywającemu Europie, przeszkodzi zawsze republikanizm pozbawiony podłoża monarchicznego, jakie ma np. we Francyi, nietylko w siłach żywych, ale i w tradycyi, w samej genezie wojska. Militaryzm rzeczywiście w monarchiach tylko rozwijać się może. Niższości swojej własnej Ameryka północna nie wyrówna, gdyby nawet wessała w siebie Kanadę, a cóż dopiero mówić o upośledzeniu militarnem, o słabej sile obronnej, o rozpaczliwie słabej sile mięśniowo-terytoryalnej, gdy się spojrzy na Amerykę południową? Jeżeli Stany Zjednoczone zechcą bronić same siebie w jedynie rozumny sposób — przez bronienie całej Ameryki—powinny zawczasu pomyśleć o tem

zadaniu przyszłości, zapewne jeszcze dalekiej, ale według rozsądnych przewidywań nieuchronnej. Próby dotychczasowe, ostatnia z powodu wystawy kolumbijskiej, rozbiły się o nieufność i bezmyślność. Na świecie, którym rządzi siła, każdy do siły dążyć ma obowiązek, jeśli żyć chce. Niebezpieczeństwo nie tkwi wprawdzie jeszcze w tej lub owej polityce, w apetytach Anglii, Francyi czy Włoch, w krasomówstwie i wierze mistycznej cesarza Wilhelma w powołanie Hohenzollernów: niebezpieczeństwo tkwi w rozprężliwości Europy, w tem, że jej będzie coraz ciaśniej na własnym gruncie, a coraz wygodniej na cudzym. Rozprężliwość ta jest faktem naturalnym i działać będzie z naturalną, żywiołową siłą. Żywioł tedy na żywioł; one same stanąć muszą do walki, a nie ci lub owi w te lub inne mundury ubrani. Mówiono jeszcze dwadzieścia lat temu o Stanach Zjednoczonych, które przyjść miały z Ameryki. Za dwadzieścia lat następcy nasi może już mówić zaczną o pikelhaubach pruskich, gotowych z Europy do Ameryki zawitać.

Tydzień polityczny. Jest nadzieja, że Chiny nareszcie odetchną. Zgodziły się już mocarstwa zwycięzkie na spłatę do r. 1934. Dostaną obligacye, bankierzy je rozbiorą i kłopotu, nie będzie. Myślano już o sądzie w Hadze, czekającym na pacyentów, jak nazywano u nas niekiedy strony w procesie. Doniesienie o r. 1934 jest dotychczas tylko prywatne, ale wzbudza wiarę. Cesarz chiński, którego powrotu spodziewają się w Pekinie na październik, wyznaczył komitet do reform. Wejdą do niego: Czung, Li-Chung-Czang, Jung-lu, Ku-ngan, Lu-czuang-lu, Ju-ku-nyi i Cza-ngan-tung. Gdyby rzeczywiście zreformować się chciano! Wszędzie zadanie byłoby ciężkiem, w Chinach jest prawie otchłanią trudności i przeszkód. Walczyć muszą synowie ziemi i nieba nietylko z własną, przez nałogi urobioną naturą, ale i z mocami zewnętrznemi, które na wzrost ich zawistnem będą patrzały okiem. Podobno Japonia ma przyjść z pomocą w siłach żywych, urzędnikach i nauczycielach—robotnikach przekształceń. Wielkiej pociechy z tego reformatorstwa nie będzie; rozum jednak z zadowoleniem wita sam pomysł, samą chęć poprawy.

Na świecie republikańskiem po odroczeniu się Izb w końcu czerwca, urzędownie wystąpił tylko Loubet. Miał mowę przyzwoitą, sławił jedność armii z narodem. Rzeczywiście lepiej jest za niego, niż za Faure'a, który filisterstwem byłby i armię i Francyę zapowietrzył. Dzienniki odkrywają teraz tajemnice Faszody. Miano już, nie odwołując się do Izb, uzbroić się na wojnę z Anglią, wyłożyć na początek 80 mil. na własną odpowiedzialność: nagle przekonano się, że flota słaba i Bizerta źle obwarowana—i zapał zamknięto w komorze rozsądku.

Cesarz Wilhelm przed wybraniem się na swoją zwykłą wycieczkę pod biegun północny odmówił zatwierdzenia Kaufmanowi na drugiego burmistrza Berlina. Stało się to nawet z pewną ujmą dla powagi nowego ministra spraw wewnętrznych, Hammersteina nr. 3. Cesarz nie zważał na przychylne słowo ministeryalne i z gabinetu wprost przysłał odmowę: musiał zatem mieć przyczynę poważną. I miał: Kaufmann przed dwudziestu laty jako oficer rezerwy podburzał wyborców przeciwko urzędnikom i kandydatom rządowym, nie zasługuje więc po dwudziestu latach na zaufanie. Obywatelstwo berlińskie, to, które Kaufmanna wyniosło, odgraża się, że go nanowo wybierze. Głośny bęben za górami; do wyborów jeszcze daleko.

Zmarł b. kanclerz, hr. Hohenlohe-Schillingsfürst, osobistość mała, a prusacka.

Cesarz przyjmował z wielką okazałością poselstwo marokańskie, to samo, które miało przebłagać Francyę, ale nie potrzebowało tego czynić, bo nim zawinęło do Marsyli, już dyplomacya ostudziła zapały francuskie. Nie znaczy to przecież, żeby się Francya Maroka wyrzekła i żeby go kiedyś dostać nie miała; tylko musi iść mniejszym i powolniejszym krokiem. Dzienniki berlińskie pysznią się wielkością Niemiec. Ktoby to dawniej o „piaseczniczce brandenburskiej" pomyślał! a dziś urok potęgi niemieckiej nawet takich Mauryańczyków przyciąga. Cesarz dostał od sułtana kilka pięknych arabczyków. Celem jest niewątpliwie osłona od Francyi i wstawienie się do padyszacha; ale padyszach sam rad, że się w Stambule trzyma.

Na Bałkanach ciągłe wrzenie. W Albanii i Macedonii połudn. fanatyzm religijny obu stron, ale zacieklejszy w Albańczykach, krew rozlewa w nagłych napaściach i ruchawkach ochotniczych. W Sofii śledztwo przeciwko Sarafowowi i wspólnikom ukończone wykazało udział prezesa komitetu macedońskiego w zabójstwie politycznem Michalescu w Bukareszcie. Komitet sam ocalał. Oskarżenia o zamach na życie króla Karola zaniechano.

Książę Jerzy grecki podejmuje się wielkorządów Krety jeszcze na cztery lata, ale pod warunkami, które poda mocarstwom.

W Austro-Węgrzech gorąca sprawa Ugrona, obwinionego o sięganie do kieszeni francuskiej na rzecz przymierza, któreby Ugron zawarł z Francyą — rozpłynęła się spokojnie w opinii publicznej. Sejmy krajowe pokończyły swe narady; galicyjski d. 10 b. m. (zasiadał od 17-go czerwca); jeszcze tylko na południu radzą ojcowie krajowi. Cesarz rozporządzeniem swojem prawo o kwotach na wspólne wydatki przedłużył do 1 lipca 1902 r.

Anglikom udało się w Reitz zaskoczyć rząd orański. Gen. Broodwood donosi, że jeden tylko prezes Stein umknął, wszyscy inni schwytani. W Anglii odbył się d. 9 b. m. wiec liberalnych dla zapobieżenia nowemu rozłamowi. Pogodzono odłam Asquith'a z odłamem Bannermanna—dzięki apostazyi. Jest jedność, ale liberalizmu już niema. Gladstone przewraca się w grobie. Transwal jest równie dobrą zdobyczą i dla lepszych i dla gorszych. Zaraza militaryzmu wojującego robi swoje.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WYSTAWA LUBELSKA.

Wystawa jest formą zobrazowania życia ekonomicznego i społecznego, której nie zastąpi ani organizacya statystyczna, ani t. zw. ankieta, ani żaden inny sposób zdawania rachunku ze stanu i rozwoju zasobów społecznych. Forma ta stała się niezbędną i przeszła już w organizacyę peryodyczną. Wystawa, zwłaszcza miejscowa, ma wielkie znaczenie dla danej przestrzeni kraju, zarówno kulturalne, jak i praktyczne. Dlatego też urządzanie u nas wystaw prowincyonalnych, jako przedsięwzięć stałych co parę lat podejmowanych, stanowi w ostatnich czasach nowy objaw działalności zbiorowej, która jest nietylko rachunkiem publicznym z owoców naszej pracy, lecz zarazem środkiem nawiązywania stosunków wzajemnych i wyrabiania nowych dróg pracy.

Taki właśnie charakter miały w ostatnich latach wystawy w Płocku i Radomiu, a obecnie w Lublinie.

Ta ostatnia była niezwykłą w naszych stosunkach, gdyż połączyła w sobie przeszłość z teraźniejszością. Przeszłość — to pamiątki z wieków ubiegłych, wystawa śladów dawnej kultury, zabytków przedhistorycznych i późniejszych, zebranych na ziemi naszej, dzięki zabiegom profeso-

---

3)

Napoleon Rouba.

CHYBIONE SWATY.

Operacya nad chłopcem pomieszała szyki jeszcze bardziej, a jednocześnie zaostrzyła apetyt. Organista wreszcie ujął za flaszę i nalał pełną czarkę

— Jako tu jesteśmy w zgodzie i wiadomem porozumieniu, piję Wasze zdrowie, Józefowo, mówiąc słowo za tym oto Kubą, który was chce mieć za żonę.

Wychylił czarkę do dna i podał nalaną powtórnie sołtysowi.

— Wasze zdrowie, kumo! Pan organista już rzekli, a ja pieczętuję—powiedział ten, jednym haustem połykając wódkę.

Wdowa sromała się nieco, bawiąc się paciorkami i końcem fartucha, ale wódkę przyjęła i wypiła do karbowego, poczem, gdy pierwsze lody zostały już przełamane, usiedli do stołu, całkiem oddani piciu i jedzeniu.

Po wypiciu wódki wzięto się do piwa, po wypróżnieniu miski i rynienki, musiała gospodyni przynieść twarogu, ale nie żal jej było, bo goście widocznie byli radzi, a karbowy coraz weselszy.

Co chwila zrywał się z ławy i, stając przed nią, brał się pod boki i wyzywał wzrokiem i słowem.

— Widziałaś oto, jaką mam siłę, pilnuj się więc babo, bo łatwiej u mnie o szturchańce, niż o słowo u innego!

— Boga mi! nie boję się was—odpowiedziała mu zuchwale, wyzywając oczyma.

A on ją brał wtedy wpół i obracał, jak frygę, po izbie, gniotąc w uściskach i paląc pijanym oddechem.

Organista, drżącym głosem, usiłował przyśpiewywać krakowiaki, ale mu się to nie udawało, ku wielkiej radości sołtysa, który nie miał już z czem wystąpić.

Już było dobrze za północ, kiedy pijani goście wychodzili przed chatę, odprowadzani przez gospodarzy.

— A jutro rankiem do proboszcza! — przypomniał jeszcze organista na odchodnem.

Zaswatani stali w sieniach złączeni we wzajemnym, namiętnym uścisku.

— Magduś moja, to ja chyba już u ciebie zostanę! — szeptał karbowy. Kobieta milczała. I znowu długie szamotanie się i zaklęcia szeptane przerywanym, zdławionym głosem.

W końcu drzwi chałupy skrzypnęły i dokoła zaległa cisza nocy. O Antku zapomniała matka zupełnie, wchodząc w krąg nowych pożądań i obowiązków.

On długi czas siedział samotny i bezmyślnie wpatrzony w migotliwe połyski rzecznych fal. Zbity i zbolały, chwytał całą piersią świeże powietrze nocy i rzeźwił się niem, jednocześnie kuląc się coraz bardziej, gdyż był tylko w spodniach i koszuli. Widział wprawdzie dwa ogniska, snadź przez ludzi z tratew zatrzymanych przy brzegu rozniecone, ale brał go lęk jakiś przed ludźmi, a ból nie pozwalał na przejście dość głębokiego rowu.

Ogniska zwolna gasły, jeszcze tylko od czasu do czasu błyskając jaśniejszym płomieniem; ucichł też wkrótce i zmieszany gwar głosów ludzkich.

Chłopiec ostrożnie, stękając i odpoczywając, dowlókł się do najbliższego ogniska i cichutko ułożył się przy niem. Tu wkrótce usnął snem ciężkim, zwierzęcym, tuląc się do zimnej wilgotnej ziemi.

Nie miał już nawet ochoty i siły, sięgnąć do owego węzełka, który miał w zanadrzu, jeno go objął ramionami

ra Hieronima Łopacińskiego; a więc były tam pierwotne narzędzia i broń: toporki, groty, ostrza, nadania z czasów Łokietka, pieczęcie, godła i przywileje, medale cechowe, stare rękopisy, urny z popiołami i kośćmi, skamieniałości, zbroje, szpady, szable, broń inkrustowana kością słoniową, pasy lite, buławy, buzdygany, paweże, czapraki, siodła, umundurowanie dawne, tarcze nabijane złotem, szafy gdańskie z haftami złotem, jedwabiem i nicią, koronkami, ornatami, biurka, stoliki, taboret Sobieskiego z pod Wiednia, dwa fotele Jagiełły, skarbiec żelazny ze sztucznym zamkiem o 24 spustach, roboty artystycznej, ozdobiony kwiatami i arabeskami z żelaza, zegary, zegarki, stary kufer dębowy, kuty żelazem, puhar z jednej sztuki kości słoniowej, rzeźbiony i oprawny w bronz, herby rodzin polskich, rznięte na drogim kamieniu, bransolety, wachlarze, kolie, stare gobeliny i nowe ich naśladownictwa, znaki i nadania masońskie, pieniądze papierowe, monety bite w Lublinie i Zamościu, okazy drzeworytnictwa, sztycharstwa itd.

Słowem, wystawa starożytności dała chociaż w ułamku obraz kultury z naszej przeszłości. W danym wypadku Lublin był miejscowością bardzo odpowiednią, jako miasto pamiętne z doniosłych faktów historycznych.

Wystawa przemysłowo - rolnicza była obrazem życia współczesnego, która wykazała nietylko postępy na polu ekonomicznem i społecznem, ale zarazem i dotkliwe braki. Tak np. były bardzo piękne okazy koni angielskich, arabskich, ardeńskich, oldenburskich itd., ale nie było wytrwałej rasy krajowej koni roboczych. Nie było, bo ich prawie wcale nie mamy. Objaw ten, na który w *Prawdzie* już niejednokrotnie zwracaliśmy uwagę, dziś jest tem bardziej znamiennym, że mamy zorganizowane stałe ogniska spraw rolnictwa, w których często dają się słyszeć rozprawy o potrzebie uregulowania i podniesienia hodowli ras krajowych. Dział bydła i trzody nasuwa te same uwagi. Popis kilku czy kilkunastu zasobnych obór i chlewni, które wystawiły piękne okazy ras zagranicznych, jest właśnie świadectwem wielkich braków w tej dziedzinie. Oldenburgi, Simentale, Szwyce, krowy fryzyjskie i holenderskie są obrazem pstrokacizny i chaosu w hodowli. Tak zwane obory wzorowe, które mają być przykładem dla szerokiej okolicy, mieszczą w sobie po kilka ras, przypadkowo zgromadzonych, kosztownych, niewytrwałych, skłonnych do wyradzania się i podatnych na choroby zaraźliwe w naszym surowym klimacie. Tymczasem wystawa nie dała nawet luźnych przykładów, któreby świadczyły, że nasi hodowcy usiłują podnieść skromną lecz wytrwałą i całkiem w naszych warunkach odpowiednią rasę krajową. Może za jakie lat dziesięć, kiedy świeżo zorganizowane, a raczej organizujące się Towarzystwo hodowlane rozwinie swą działalność w całym kraju, wystawy prowincyonalne dadzą lepsze, pomyślniejsze świadectwo o naszej hodowli. Tymczasem panuje chaos i chwiejność w tym kierunku skutkiem czego upadają ekonomicznie zarówno gospodarstwa folwarczne, jak i chłopskie. Wystawa lubelska, która uwzględniła różne dziedziny pracy ludu, powinna byłaby stać się bodźcem do podniesienia hodowli w gospodarstwach włościańskich, już chociażby przez mimowolne a jaskrawe wykazanie braków.

Z owoców pracy ludu na uwagę zasługiwał przemysł domowy, który wykazał pewną samodzielność i pomysłowość wrodzoną. Brak mu tylko wykształcenia odpowiedniego, któreby pozwoliło tę pomysłowość rozwinąć. I w Lublinie, jak na wystawie radomskiej przed dwoma laty, dział wyrobów włościańskich ujawnił brak jakiejkolwiek organizacyi, która pozwoliłaby ludowi naszemu rozwinąć i utrwalić pracę zrzeszoną w tych dziedzinach produkcyi, do których jeszcze nie dotarł i nie prędko dotrze przemysł fabryczny.

Wystawa lubelska dała stosunkowo najdokładniejszy i najwypuklejszy obraz stanu i postępu rolnictwa folwarcznego, do czego znacznie się przyczyniła ta okoliczność, że gospodarstwo rolne w wielu miejscowościach gub. Lubelskiej jest dość zasobne i wysoko stoi, że gubernia ta posiada w Sobieszynie, stacyę doświadczalną która dziś już wywiera ogromny wpływ na kulturę i postępy rolnictwa w całym kraju. To też owoce tej pracy i na wystawie zajęły wybitne miejsce. Płony porównawcze, aparaty do analizy mechanicznej, badania gleby, bogata kolekcya szkodników leśnych, okazy roślin uprawnych i chwastów itd., wszystko są to bardzo cenne owoce działalności naukowej na tem polu, które dają rolnikom poważne wskazówki i w wielu razach pozwalają się oryentować.

Gubernia Lubelska jest przeważnie rolnicza; przemysł fabryczny jeszcze tam nie zapanował szeroko. Natomiast produkcya przetwórcza i inne gałęzie przemysłu, pokrewne z rolnictwem lub pomocnicze dla tej gałęzi rozwijają się stale, co świadczy, że rolnictwo zaczyna coraz bardziej wyzwalać się z fazy pierwotnej i wywalczać sobie grunt trwalszy na drodze przemysłu rolnego w całem znaczeniu, tj. przemysłu w formie kapitalistycznej. Taki stan rzeczy stwierdziła właśnie wystawa lubelska. Dowiodła ona również, że śród ziemian coraz więcej rozwija się dążność do przetwarzania na miejscu płodów rolnych i do specyalizacyi w gospodarstwie.

Wielka tylko szkoda, że w zakresie humanitarno-społecznym wystawa nie dała prawie nic, a więc ani obrazu warunków pracy robotników wiejskich, ani ich sposobu życia i widoków zabezpieczenia przyszłości. Pod względem zdrowotno-hygienicznym również jeszcze nic nie zrobiono. Nie było też na wystawie nic takiego, coby dało pojęcie o poziomie umysłowym i potrzebach ekonomicznych ludu miejskiego i wiejskiego. Dział etnograficzny również dość ubogi, jakkolwiek w tej dziedzinie materyał obficie zebrany mógł dać bardzo cenne wskazówki z zakresu etnografii krajowej.

Wogóle jednak wystawa lubelska była niezmiernie pożyteczną zarówno pod względem kulturalnym, jak i ekonomicznym. Można więc ją zapisać do rubryki dodatnich objawów życia naszego.

Zen. Piet.

Listy z Wiednia.

Z polityki socyalnej.

Na ostatnim kongresie międzynarodowym w sprawie prawodawstwa fabrycznego, który odbył się w Paryżu podczas przeszłorocznej wystawy, urzeczywistniono nareszcie myśl, podnoszoną już przez parę poprzednich kongresów (brukselski i zuryski w 1897 r.), założenia stałego międzynarodowego biura prawodawstwa w kwestyach pracy i jej stosunku do kapitału. Porzucono wprawdzie zamiar utworzenia takiego biura z charakterem urzędowym; nadano mu charakter prywatny, przyczem jednak niektóre rządy życzliwie je popierają. Do tych należy przedewszystkiem rząd szwajcarski, na którego terytoryum, w Bazylei, biuro obrało sobie siedlisko. Prezesem jest deputowany Scherrer z St. Gallen, sekretarzem prof. Stefan Bauer z Bazylei; rząd szwajcarski ofiarował 8,000 fr. rocznie na

---

i małą chwilę myślał, że jutro zje te specyały.

Niemałe było nazajutrz zdumienie oryli, kiedy ujrzeli między sobą tego obcego chłopca, śpiącego w spodniach i koszuli, krwią splamionych.

Ten i ów z wiejskich ludzi, jako przy święcie, chętnie przystawał koło promu i pytał, czemu się tak dziwią na noclegowisku zajezdnych—aż poznano Antka.

Jeden i drugi potem zastukał do drzwi chaty, więc Józefowa skoczyła z posłania i wybiegła z izby.

Kiedy jej wytłomaczono nareszcie, że tu chodzi o Antka, pobiegła na łąkę, głośno płacząc i zawodząc:

— O mój ty synku biedny! mojeż ty dziecko jedyne!

Przypadła do chłopca i budziła go zaniepokojona i smagana dotkliwemi słowami obcych.

Antek ocknął się prędko, ale próżno się zmagał, aby powstać, tak go odrętwił ból i chłód nocy. Józefowa jęczała coraz donośniej i łamała ręce w rozpaczy.

— Nie płaczcież-bo, matulu! — przemówił chłopiec, nie mając w sercu ani cienia żalu do matki, — i zwolna, chwytając się jej ramion, powstał na nogi.

Poszli oboje w zgodzie zupełnej do chaty, mijając się w sieni z karbowym, który gniewnie zaklął pod nosem i skoczył do drugiej, swojej połowy chaty.

Wdowa już ostygła z uniesienia powrotnego szału miłości i znowu się stała matką troskliwą i czułą, klnąc natomiast głośno dwór cały, panią i panienkę za tę straszną krzywdę sobie i chłopakowi wyrządzoną. Była w głębi ducha najzupełniej przekonana, że tak jak się stało, stało się z woli i planu samego dworu, który mógł przecież tę łąkę jej biednej wdowie odebrać, a więc choć milczał—groził i tem samem wymógł na niej skatowanie dziecka.

Tymczasem rozniecił a ogień i przystawiła do niego garnczki z wodą i wczorajszą kolacyą. Poczem umyła Antkowi głowę i twarz, włożyła na niego czystą koszulę i spodnie, wreszcie wyniosła z komory ojcowskie buty i kamizelkę.

— Wdziej sobie, synku, bo to twoje, tego ci nikt nie zabierze — pewno pójdziesz do dworu po tygodniowe.

Antek prawie wyzdrowiał na widok tych strojów, które dotąd znał tylko z wyglądu na innych, i pośpieszył skorzystać z matczynego pozwolenia.

Kiedy siadł przed misą wczorajszych zacierek, odegrzanych na śniadanie, wzięła go tkliwość dla matki, więc wyjął niespodzianie z węzełka dwie gruszki i dał jej wzamian za dobre słowo i pożądany posiłek.

Józefowa ryknęła z płaczu i długi czas oblewała łzami głowę i twarz syna, nazywając go biednym sierotą. Później patrzyła na niego długo i żałośnie, obracając na wszystkie strony.

Chłopiec był ogromny na swoje lata, miał twarz ładną i miłą o łagodnem i czułem wejrzeniu przy jasno-płowej, wijącej się, czuprynie.

— Jaki mi „wielgus!"—wykrzyknęła radośnie.

Ale karbowy szedł już na śniadanie, więc matka pchnęła Antka przed chatę. Chłopiec wybiegł prawie na drogę, tak go orzeźwił posiłek, a więcej jeszcze uścisk i łzy matki. Zresztą może i chorowałby trochę dnia powszedniego, ale ten dzień świąteczny należał całkiem do niego, więc musiał czuć się zdrowym.

Karbowy już rozgadał między dworskimi o tem, jak Józefowa skarciła syna za psa panienki i wieść ta w dziesiątej, odpowiednio powiększonej odbitce, doszła nareszcie do Izy.

Dziewczynka rozpłakała się gwałtownie i pobiegła do matki.

koszty administracyi. We Francyi, Belgii, Holandyi i Niemczech utworzyły się już sekcye stowarzyszenia międzynarodowego, którego organem centralnym i informacyjnym jest biuro bazylejskie; tworzą się one też na Węgrzech, we Włoszech i w krajach skandynawskich. Każda sekcya obowiązana jest składać 2.000 fr. rocznie na koszty wydawnictw, które przedsiebierze biuro. Otóż i w Austryi powstała taka sekcya pod nazwą „Austryackiego stowarzyszenia opieki prawnej nad robotnikami."

Inicyatorem był profesor ekonomii politycznej w uniwersytecie tutejszym, Eugeniusz von Philippovich, znany już powszechnie z tego, że przed kilku laty wszczął tu cały ruch i wytworzył w tutejszem wykształconem mieszczaństwie stronnictwo t. zw. „polityków socyalnych," różniące się od niemieckich t. zw. „socyalistów z katedry" nieco większą może dozą liberalizmu politycznego, które też reprezentuje w sejmie dolno-austryackim. Towarzystwo obejmuje jednak wszelkie stronnictwa, nie wykluczając „chrześciańsko-socyalnych," czyli antysemitów, oraz socyalnych demokratów; do zarządu, obok ich przedstawicieli, należą także: b. minister Baernreither, naczelny inspektor fabryczny hofrat Muhl i in. Jest to już dziś w Europie zasadą ogólnie przestrzeganą w podobnych przedsięwzięciach.

Na ogólnem zgromadzeniu, na którem stowarzyszenie powołano do życia (z Galicyi zgłosiło się *dwu* członków), prof. Philippovich uzasadniał potrzebę takiego stowarzyszenia, któreby przypominało parlamentowi tę stronę jego obowiązków prawodawczych między innemi i tem, że w Austryi, która z początku pod wieloma względami w zakresie prawodawstwa fabrycznego wyprzedziła inne państwa, w której pierwsze prawo, regulujące pracę dzieci, datuje się z r. 1786, od r. 1885, z wyjątkiem rozszerzenia odpoczynku niedzielnego, nie zrobiono absolutnie ani jednego kroku naprzód na tej drodze. Mówca wskazywał, ile to spraw jest już zupełnie dojrzałych, dokładnie rozważonych i wymagających szybkiego rozwiązania, mianowicie: opieka prawodawcza nad pracującemi kobietami i młodzieżą, bliższe przepisy ochronne, dotyczące zdrowia i życia robotników, rozciągnięcie prawodawstwa opiekuńczego nad rzemiosłem drobnem, nad robotnikiem biorącym robotę do domu, nad pracującymi przy środkach komunikacyi, w handlu i restauracyach.

Co do opieki nad zdrowiem i życiem robotników, to zanotujemy tu ciekawy fakt. fabrykant wiedeński, Klose, skazany został sądownie na trzy miesiące więzienia za to, że nie spełnił danej mu przez inspektora fabrycznego wskazówki ogrodzenia niebezpiecznej transmisyi, skutkiem czego jeden z jego robotników został zabity. Fabrykant liczył oczywiście na to, że inspektor nie prędko zjawi się u niego drugi raz; i rzeczywiście, hofrat Muhl, główny inspektor, w swem dorocznem sprawozdaniu do ministra handlu i przemysłu gorzko się uskarża na to, że inspektorów jest za mało, że mogą oni zwiedzać każdy zakład przemysłowy przeciętnie raz na lat pięć tylko i dowodzi, że jeśli inspekcya nie ma pozostać nadal martwą literą, to koniecznem jest znaczne powiększenie liczby jej agentów. Prof. Philippovich zaś domaga się, aby, wzorem francuskiego ministra Milleranda, prawodawstwo austryackie wzywało samych pracujących do czynnej pomocy inspektorom i zobowiązało tych ostatnich do utrzymywania stałych stosunków z zawodowemi organizacyami pierwszych.

Słowa prof. Philippovicha, że od r. 1885 nie zrobiono w Austryi ani jednego kroku na drodze prawodawstwa fabrycznego, czyli, jak tu się wyrażają, „polityki socyalnej," dziś nie byłyby już zupełnie uzasadnionemi. Ubiegła, pamiętna sesya parlamentu, wolna od walk namiętnych narodowościowych, przyniosła nietylko handlowi i przemysłowi mannę miliarda prawie koron na budowę kolei i kanałów. W tych dniach właśnie cesarz udzielił swej sankcyi prawu, uchwalonemu podczas tej sesyi przez obydwie Izby, a przynoszącemu górnikom w kopalniach węgla skrócenie prawnego maximalnego czasu pracy z 12 godzin do 9 na dobę.

Już przeszło rok temu, podczas pamiętnego kilkomiesięcznego bezrobocia 70,000 górników polskich i czeskich w rewirze ostrawsko-karwińskim, rząd publicznie zapowiedział wniesienie odpowiedniego projektu. Podczas rozpraw ówczesnych w parlamencie wielu mówców, między innymi poseł z ołomunieckiej izby handlowej, Primaveri, oświadczył się w imieniu przemysłowców za wprowadzeniem dnia 8-godzinnego, który w kopalniach angielskich istnieje (w Northumberland robotnicy, zatrudnieni pod ziemią, pracują nawet tylko 35 godzin tygodniowo) i który w kopalniach, odpowiednio - rozwiniętych pod względem techniki, absolutnie nie może zmniejszyć produkcyi. Obecnie jednak projekt rządowy miał na widoku skrócenie czasu pracy tylko do 9 godzin; właściciele zaś kopalń rozwinęli silną agitacyę przeciw temu.

Faktycznie już dziś, pomimo prawnego maximum 12 godzin, tylko 4,443 robotników pracowało 12 godzin dziennie w kopalniach węgla, 6,682 — po 11 godzin, a 36,584 — tylko po 10 godzin na dobę. Otóż zwolennicy skrócenia dnia roboczego dowodzili przykładami, zaczerpniętymi nietylko z angielskiej, ale już z austryackiej praktyki, że bynajmniej nie zmniejsza ono produkcyjności każdego robotnika; tak np. według urzędowego sprawozdania z okręgu Falkenau z r. 1898, po wprowadzeniu 10-godzinnej szychty, przeciętny roczny wytwór pojedyńczego robotnika wzrósł z 3,970 centnarów metr. na 4,106, czyli o 3,42%. Jednak referent prawa w Izbie poselskiej, dr. Kolischer (członek Koła polskiego), dla tem gruntowniejszego przekonania opornych, przyjął hypotezę, że zwiększona wskutek skrócenia czasu intensywność pracy wynagradza tylko połowę utraconego czasu i obliczył, że wobec tego dla osiągnięcia niemniejszej produkcyi kopalnie musiałyby z wprowadzeniem 9-godzinnej szychty zatrudnić o 3,550 robotników więcej. Ponieważ przeciętny roczny zarobek górnika wynosi 810 koron, więc powiększenie kosztów produkcyi z tego powodu, licząc już połowę tego jeszcze na zwiększone koszty dodatkowe, wyniosłoby 4.313,250 koron; rozłożone na $213\frac{2}{3}$ miliona centn. metr. produkcyi, daje to powiększenie kosztów o 2 halerze (grosze) na centnarze — co wobec dochodów kopalń: wahających się pomiędzy 36 a 44% czystych zysków od kapitału, może doprawdy być uważane za zero. Deputowany Schuhmeier zaznaczył jednak, że zdaniem jego nie obawa zmniejszenia wytwórczości jest przyczyną opozycyi kopalń, bo ta obawa jest zbyt widocznie nieuzasadnioną, lecz przewidywanie, że trzeba będzie podnieść płace, ponieważ skrócenie czasu pracy wzbudzi w górnikach nowe potrzeby kulturalne.

Spora, bo aż trzecia część komisyi, popierała wniosek wprowadzenia odrazu szychty 8 - godzinnej; deputowany zaś chrześciańsko-socyalny, Scheiswahl, stawiał wniosek kompromisowy: 9 godzin szychty na teraz z obowiązkowem przejściem jednak do 8 godzin po trzech latach. W komisyi 15 głosów przeciw 15 oświadczyło się za tym wnioskiem; przemawiał gorąco za nim inny członek Koła polskiego, p. Roszkowski; dopiero głos przewodniczącego przechylił szalę na stronę wnio-

---

— Matuchno! czyś to ty kazała wybić mojego Antka?

Poczem w krótkich słowach, zalana łzami, opowiedziała matce przykro zdziwionej szczegóły, które ją doszły, i domagała się surowej kary na winowajców.

— Ależ, droga Iziu, to matka go ukarała podobno, więc cóż ja mogę tu zrobić?

— I za cóż, kiedyś ty sama, matuchno, mówiła, że Antek był niewinny?

— Może co innego było powodem kary, do której matka miała zupełne prawo.

Dziewczynka patrzała na matkę zdumiona i jakby nie rozumiejąca istoty tego prawa, tak dla niej obcego.

— A czemuż ty mię nigdy nie bijesz?

— Bo ty nie zasługujesz na karę.

— Zapewniam cię, matuchno, że ja jestem gorsza od Antka, bo ja w pierwszej chwili przyskoczyłam do niego z gniewem, widząc Rampa bez ruchu, a on później, choć okaleczony, sam pomyślał o zakopaniu tego biedaka i zrobił to pod mojem okiem.

Pani Calińska uczuła się zakłopotaną, więc ucałowała córkę kilkakrotnie i poleciła przywołać pana Pękalskiego.

Do pokoju wszedł, chrząkając i niezgrabnie kłaniając się dziedziczce, zaufany, stary ekonom.

— Kochany Pękalsiu, bądź tak dobry i poślij kogo, aby mi sprowadzono tu zaraz tę Józefowę Przewoźniczkę z synem.

— Chyba poślę furmankę, bo gadają, że chłopca zbili okrutnie.

Pani Calińska zakryła oczy chusteczką, a Iza gniewnie zawołała:

— Niechże pan ich wszystkich zbije za to!

Matka ujęła ją za rękę i coś długo szeptała na ucho, wskutek czego dziewczynka pokraśniała i wstydliwie oczy spuściła.

— To przejedź się sam, mój drogi, do ich chaty i namów, aby Józefowa oddała nam chłopca na służbę; jak sądzisz, czy to dobry chłopiec?

— Chłopiec, jak chłopiec, do figlów skory, ale z gruntu dobry, pojętny i pracowity.

Iza zarumieniła się z radości, słysząc z ust Pękalskiego te pochwały, stwierdzające prawdziwość jej spostrzeżeń.

Po odebraniu polecenia, ekonom poszedł piechotą do chaty Józefowej, ale znając ją dobrze, postanowił zajść babę zręcznie i nastraszyć ją nieco, jeśli osobiste oględziny przekonają go o istotnem nieludzkiem pobiciu chłopca.

Słyszał on już o planach wdowy na karbowego i to robiło prawdopodobnem pobicie chłopca, który już w chałupie zawadzał rodzonej matce.

Przed chatą spostrzegł Antka, który z powagą dorosłego parobka wystawał przed drzwiami matczynego obejścia, w zupełności zajęty podziwianiem własnego stroju. Zdało mu się dobrem zrobić użytek z obroży Rampa, więc przed chwilą zapiął ją sobie z wielkim mozołem na szyi, i właśnie usiłował, robiąc najkomiczniejsze ruchy głową, własnemi oczyma dojrzeć choć brzeżek ponsowy tej prześlicznej ozdoby.

Pękalski niedarmo był już ekonomem od lat trzydziestu, dojrzał wnet ów naszyjnik i poznał, więc zapomniał o głównym celu swej wycieczki, napadł natychmiast na chłopca.

— A ty skąd, wisusie, wziąłeś tę obrożę? — hukął nad nim, palcem dotykając przedmiotu, który zwrócił jego uwagę.

Antek odparł śmiało, może dzięki butom i kamizelce, które czuł na sobie:

— Panienka mi dała.

— Sprawdzę ja to, zapamiętaj sobie! Gdzież matka?

— Poszli z karbowym na plebanię.

O cel tej wspólnej wycieczki Pękalski już nie miał potrzeby pytać, lecz przyglądał się chłopcu uważnie i daremnie usiłował

sku rządowego, ponieważ wiadomem było, że rząd nie zechce przedstawić do sankcyi monarszej prawa, skracającego czas pracy poniżej 9 godzin. Przytem jednak przedstawiciel rządu, minister rolnictwa Giovanelli, złożył bardzo ważne oświadczenie, dotyczące interpretacyi prawa: szychta 9-godzinna ma być rozumiana mianowicie, nie pojedynczo, lecz zbiorowo, czyli od wjazdu pierwszego górnika do wyjazdu ostatniego. W rzeczywistości, po odliczeniu czasu wjazdu i wyjazdu całej załogi, sprowadza to faktyczny czas pracy pod ziemią do 8 lub 8½ godzin. W Izbie panów zasiadający właściciele kopalń domagali się koniecznie zmiany tej interpretacyi tak, aby 9 godzin liczono od wjazdu do wyjazdu każdego poszczególnego robotnika osobno, co przedewszystkiem miałoby w następstwie ogromne utrudnienie kontroli. Referent, znakomity ekonomista Inama-Sternegg, nadaremnie nawoływał baronów górniczych do „eleganckiego“ ustępstwa. Przyjęcie tej szkodliwej poprawki uniemożliwiła lewica postępowa Izby panów, stając zwartą masą przeciw prawicy: prof. Ernest Mach, słynny filozof, przyszedł głosować za szychtą 9-godzinną ogólną, choć był poważnie chory.

Nowe prawo wchodzi w życie w rok po ogłoszeniu, czyli 1 lipca 1902 r.; kopalnie mają więc czas na porobienie odpowiednich przygotowań technicznych i administracyjnych. Jak wszelkie tego rodzaju prawa współczesne, ma ono swe charakterystyczne wyjątki, na które pozwalać mogą władze górnicze, nie inaczej jednak, jak *po wysłuchaniu* miejscowej komisyi robotniczej, istniejącej na zasadzie prawa z d. 14 sierpnia 1896 r. Dep. Schuhmeier stawiał poprawkę, aby pozwolenie takie następowało nie po wysłuchaniu, lecz za zgodą tejże komisyi, co jednak odrzucono. Również odrzucono jego wnioski dodatkowe, aby prawo to zastosować także do robotników, pracujących przy kopalniach węgla na wierzchu, i do innych, nietylko węglowych kopalń (minister uzasadniał swą odmowę tem, że w kopalniach rudy i in. praca jest mniej niebezpieczna), wreszcie aby wzbroniono kobietom i dzieciom do lat 16 pracy nocnej pod ziemią, co się dotychczas często praktykuje.

Z równem niepowodzeniem spotkały się wnioski dep. Daszyńskiego i dr. Ellenbogena, aby przy budowie postanowionych kanałów i kolei zastosowano przepisy, zobowiązujące przedsiębiorców do przestrzegania maximum dnia, minimum płacy, terminów wypłat, niedopuszczające przedsiębiorców „z drugiej i trzeciej ręki“ itd. Co do przedsiębiorstw budowy kolei, to ministeryum wniosło osobny projekt opieki nad robotnikami, który przyjdzie pod obrady może podczas sesyi jesiennej, zarówno jak projekt prawa o ubezpieczeniu oficyalistów prywatnych na starość, w razie choroby oraz braku zajęcia.

Stronnictwo chrześciańsko-socyalne podczas obrad nad prawem górniczem popierało wnioski najdalej idące; podczas trwania tejże sesyi odsłoniło ono jednak i drugą stronę swej „polityki socyalnej.“ Jest to mianowicie stronnictwo „ratowania“ dobrego, „uczciwego i osiadłego“ handlu i rzemiosła. Sklepikarze i majsterkowie wiedeńscy są przekonani, że przyczyną ich niedomagań na razie są z jednej strony komiwojażerowie wielkich fabryk, z drugiej — drobiazg wędrowny roznosicieli towarów łokciowych, spożywczych, papierowych po domach i ulicach. Jedni i drudzy — mają to być Żydzi, a choć jest między nimi 80% albo i więcej katolików, to jednak są to wszystko narzędzia dyabelskiego, żydowskiego kapitału, więc zasługują na wytępienie. I otóż wszechpotężny p. burmistrz, dr. Lueger, chcąc i *dem kleinen Mann* przynieść gościńca z tak szczęśliwej sesyi parlamentarnej, przy poparciu wysoce „nowożytnego“ rządu p. Koerbera, uzyskał od Izby poselskiej — prosty zakaz zbierania zamówień i roznoszenia towarów po domach i po ulicach. Kto sobie chce co kupić, ma odtąd iść do sklepikarza na rogu, nie gdzieindziej, bo ten go wziął w dzierżawę, choć nie jest — właśnie dlatego, że nie jest — Żydem z „Pająków“ Junoszy.

Zakaz ten zawisł też nad głowami kobiet, sprzedających kwiaty na ulicach... Także groźny wróg „spokojnego i osiadłego“ drobnomieszczucha! Biedaczki zakręciły się, urządziły zgromadzenie, wysłały delegacyę do Izby panów, no i ta nie zatwierdziła „chrześciańsko-socyalnej“ reformy, lecz odroczyła jej rozpatrzenie do jesieni. Może się nie zlęknie dr. Luegera!

Przyjęcie takiej „reformy“ miałoby chyba za skutek zepchnięcie kwiaciarek w otchłań prostytucyi... A właśnie naczelny lekarz policyjny wiedeński, dr. Witlacil, ogłosił sprawozdanie swe o tej otchłani: 5,000 zapisanych; sam doktór zaznacza, że jest co najmniej dwa razy tyle niezapisanych. Co piąta w ciągu roku choruje... W szpitalu mało miejsca, więc lżej chore wypuszczają po 10 dniach, cięższej — na syfilis — po trzech tygodniach. Oczywiście, w większości wypadków *niewyleczone*. Czy może być wymowniejszy dowód zupełnej bezskuteczności i bezcelowości tego cywilizowanego barbarzyństwa, tego wyrafinowanego znęcania się nad wszelką godnością ludzką, jaką jest kontrola „sanitarna“ nad prostytutkami?!

To także należy do „polityki socyalnej,“ chociaż prof. Philippovich o tem nie mówił...

K. Radosławski.

PRACA ZAWODOWA KOBIET A MAŁŻEŃSTWO.

Korespondenci amerykańscy straszą Europę w ostatnich czasach wiadomościami, jakoby pracujące białogłowy za Atlantykiem przejęły się zamiłowaniem do celibatu. Trudno oczywiście zdała poddać kontroli wieści te, oparte prawdopodobnie na luźnie lub w ograniczonej sferze dokonanych spostrzeżeniach. Natomiast spróbujmy spojrzeć na to, jak kształtuje się stosunek pomiędzy ruchem emancypacyjnym a małżeństwem w kraju przodującym dziś światu pod względem rozwoju ekonomiczno-społecznego. Niemcy, a właśnie państwo to mamy na myśli, przeszły w ostatnich 25 latach przemianę gospodarczą, która przewróciła do góry tryb życia milionów ludzi, a między innymi wyprowadziła kobietę z idylli ogniska domowego na hałaśliwy rynek pracy zarobkowej. Co zaś ważniejsza, ten przewrót społeczny, który na mniejszą skalę dokonał się przecież i w innych krajach, fotograficznie zdjęto i uwieczniono w dwu wzorowo przeprowadzonych spisach ludności i olbrzymiej literaturze, osnutej na tych dwu źródłach urzędowych.

Z 26 milionów kobiet niemieckich w r. 1895 (podczas ostatniego spisu) 6½ miliona poświęcało się profesyom zarobkowym. Jeśli odliczymy dzieci liczące mniej, niż 14 lat, to okaże się, iż 36% ludności kobiecej, a więc przeszło ⅓ znajduje zatrudnienie po za obrębem ogniska domowego, podczas gdy wśród męzkiej połowy ludności 96% zarabia na swoje utrzymanie pracą przemysłową. Ta bajeczna odsetka kobiet, wiodących niezależny byt ekonomiczny, pokazuje nam jaskrawo, iż rewolucya ekonomiczna w życiu kobiecem jest faktem dokonanym i uświęconym przez historyę, niewymagającym zatem dopiero błogosławieństwa teoretyków. Nie dość tego,

---

dojrzeć jakichkolwiek śladów pobicia, o którem doszły go wieści.

— Cóżeś ty robił wczoraj wieczorem? — zapytał po chwili.

Antek spuścił oczy i milczał uparcie; wtedy Pękalski zaszedł go z innej strony.

— Był kto u was wczoraj w chacie?

— A juści, byli organista, sołtys i karbowy...

— Co oni u was robili?

Znowu milczenie. Pękalski zrozumiał, że w ten sposób niczego się nie dowie, i choć go to niecierpliwiło, w duszy atoli przyznawał, że Antek tem milczeniem składa dowód zarówno pewnej miłości własnej, jak i przywiązania do matki.

— Bardzoż skora cię boli? — spytał z wyraźnem współczuciem.

Nie mógł on domyśleć się przecie, że właśnie to pytanie przypomniało chłopcu wypadek poprzedniego wieczora i zarazem dało mu ból istotny, gdyż chłopiec zaczął drżeć cały, a oczy zaszły mu łzami.

— Nie bój się, ja ci krzywdy nie zrobię — dodał uspokajająco.

Lecz i to już nic nie pomogło gdyż Antek zaczął łkać na dobre.

— Cicho bądź, głupi! — ofuknął go Pękalski — nie zaszkodzi ci ta kara od matki, jeśli nie za wczorajsze, to „na zapas.“

Chłopiec nie zrozumiał celu takiego „zapasu,“ lecz umilkł, bo przyszło mu na myśl, że na utworzenie tego zapasu składali się wszyscy goście jego matki, co w samej rzeczy było już wypadkiem nader niezwykłym.

Z kolei przypomniał sobie obiad na dworze, te łakocie, które zjadł jeszcze tak niedawno, ten swój ubiór, który miał na sobie — i uśmiechnął się niespodziewanie, ponownie zapominając o bólu.

— Matula mię nie bili... — uczuł potrzebę wyjaśnienia.

— A któż?

— Wszyscy, i organista, i sołtys, i karbowy. .

Pękalskiego oburzyła ta spółka dygnitarzów wsi dla obicia chłopca, któremu groziło bliskie sieroctwo wskutek powtórnego zamążpójścia wdowy. Splunął gniewnie i groźnie ruszył krzaczastemi brwiami.

— Pójdziesz na służbę do dworu — powiedział po chwili, bacznie przyglądając się chłopcu.

— A masz-że ochotę? — spytał po chwili.

— Do dwora, panie? — aby mię jeno matula puścili! — odpowiedział chłopiec z radością.

— Powiedz matce, żeby zaraz z południa przyszła z tobą do pani — dodał ekonom, i ruszył ku kościołowi drogą, po której snuły się liczne gromadki mieszkańców wsi, w pstrych świątecznych strojach.

II.

Antek mówił prawdę, gdyż Józefowa i karbowy wnet po ogarnięciu się i śniadaniu ruszyli do księdza proboszcza w sprawie tak zbliska ich dotyczącej, tem bardziej, że wydało im się lepiej ślub i wesele przyśpieszyć, a więc i prosić, aby pierwsza zapowiedź wyszła po dzisiejszem kazaniu.

Nie wiodło się atoli im z miejsca.

Przed wyjściem karbowy zagadnął o pieniądze.

— A no mam tu ze dwie dziesiątki drobnemi, abym miała co dać dziadom w dniu dzisiejszym — odparła Józefowa.

— Toś hrabina! — przedrwiwał — a cóż wetkniesz księdzu, organista też nie darmo, a trzeba przecie zajść z przyjaciółmi do Szmula.

— A miejże ty sumienie, człowieku! to ja wszędzie będę za ciebie workiem sztukowała?!

— Ja tam nie przynaglam, jak nie, to nie, ale i sam płacić nie będę, bom się stargał deszczętnie na owe konkury.

wszystko przemawia za tem, iż przemysł w przyszłości pochłonie daleko więcej sił kobiecych, niż dotychczas. Od r. 1881 do do 1895 liczba kobiet pracujących powiększyła się o 18%, pomimo iż ludność kraju wzrosła w tym samym czasie tylko o 15%. Kobiety odegrały, rzecz ciekawa w danym wypadku, pośrednio rolę owej armii odwodowej, ktora przychodzi z pomocą przemysłowi i handlowi, gdy te pod nawałem wzmagających się obrotów spoglądają trwożliwie na świeże zastępy pracowników. Ponieważ rozwój przemysłowy Niemiec, podobnież jak większość krajów europejskich (z wyjątkiem Anglii i Francyi), nie doszedł jeszcze swej mety, to można z największem prawdopodobieństwem wróżyć na przyszłość nieustanny przypływ nowych amazonek pracy do świata przemysłu i handlu. Prąd emancypacyjny wyżłobi sobie większe koryto i porwie daleko szerszą warstwę kobiet, kwestya zaś stosunku zajęcia zawodowego do małżeństwa nabierze przez to znaczenia jeszcze ogólniejszego, niemal zasadniczego.

Gdy przyglądamy się bliżej sferze działalności kobiecej, uderza nas charakterystyczny zaiste fakt, iż zaszedł na polu przemysłowem, lubo nie w ścisłem tego słowa znaczeniu, podział pracy pomiędzy obydwiema płciami. Wskutek tego napotykamy przedstawicielki płci żeńskiej, przeważnie w 32 profesyach z 10 tysięcy wszystkich zawodów odróżnianych przez statystykę urzędową. W tych 32 gałęziach jakby ogniskuje się praca kobieca, albowiem każda z nich liczy w swych szeregach co najmniej po 10 tysięcy niewiast, wszystkie zaś razem wzięte obejmują 94% ogółu pracujących kobiet, 175 innych profesyj zatrudnia pozostałe 6% niewiast wciągniętych w wir pracy.

Zobaczmy teraz, jak zajęcie fachowe wpływa na zamążpójście kobiet. Odpowiedź na pytanie to można sformułować jak następuje: przeważająca większość szermierek pracy i niezależności znajduje schronienie pod skrzydłami hymenu, tak iż o związku pomiędzy celibatem a pracą zawodową na zasadzie danych statystycznych mowy być nie może. Przytoczymy tu przedewszystkiem dwa przykłady: 44% wszystkich służących jest w wieku młodszym od lat 20; 39% jest pomiędzy drugim a trzecim krzyżykiem. Zaledwie 17% liczy więcej, niż lat 30, a to dowodzi, iż pomiędzy 20 a 30 rokiem życia większość sług wychodzi za mąż. To samo zjawisko napotykamy w sferze sklepowych. Z ogółu kobiet oddanych tej profesyi $^5/_{12}$ jest młodszych od lat 20, drugie $^5/_{12}$ jest o 10 lat starszych, a zaledwie $^1/_6$ część przekroczyła rok trzydziesty, przyczem, jak świadczy statystyka, nawet ta garstka przybija przed rokiem czterdziestym do portu małżeństwa; słowem, od kiedy kobiety niemieckie zaciągnęły się w szeregi bojowniczek pracy, profesya zawodowa stała się dla nich okresem przejściowym przedewszystkiem do małżeństwa. O zgubnym wpływie ruchu kobiecego z punktu widzenia demograficznego mogą bajać ludzie nieobeznani z rzeczywistym stanem rzeczy.

Statystyka małżeństw atoli jeszcze dobitniej przekona nas, iż porywy emancypacyjne mas kobiecych nie ostudziły bynajmniej skłonności małżeńskich i że pogłoski amerykańskie mogą polegać na ryczałtowem uogólnieniu oddzielnych wypadków. Oto co nam opowiada statystyka niemiecka. Z tysiąca kobiet, które przekroczyły rok piętnasty, 642 wstąpiło już w związek małżeński, reszta w olbrzymiej większości wypadków wcześniej lub później idzie za przykładem swych towarzyszek. Pokazuje nam to wyraźnie statystyka bardziej wyszczególniona, zwłaszcza wymowna, jeśli zestawimy rok 1970 z 1890. Przed laty trzydziestu wyszło za mąż lub było już za mężem pomiędzy rokiem 20 a 30 z tysiąca kobiet tylko 7, w r. 1890 zaś 13; pomiędzy 20 a 30 rokiem życia rubryka mężatek przed laty trzydziestu obejmowała osób 391, w 1890 — 437. W wieku 30—40 lat w r. 1871 osób 802, a w 1890 — 836; w 40—50 roku życia 866, względnie 891 i wreszcie wśród staruszek napotykamy kobiety zamężne włącznie z temi, które na starość wychodzą za mąż, w 1871 r. 881, podczas gdy w 1890 r. z tysiąca staruszek 896 nie hołdowało celibatowi.

Wnioski z powyższych liczb możemy streścić w sposób następujący: do 40 roku życia z sześciu kobiet pięć wychodzi za mąż, do 60-go zaś $^9/_{10}$ ogółu kobiet jest za mężem. Widzimy zatem, jak ryzykowne i chybione są twierdzenia, jakoby rozpanoszył się wśród kobiet niezależnych wstręt do małżeństwa i jakoby rozwój industryalizmu sprzyjał temu zboczeniu społecznemu. Jakkolwiek brak zupełnie danych wiarogodnych, można stanowczo wątpić, czy zaszła wogóle pod tym względem zmiana na gorsze w zestawieniu nawet ze „starymi, lepszymi czasami."

W każdym razie ilość stadeł małżeńskich w drugiej połowie XIX wieku wbrew rozpowszechnionej błędnej opinii bynajmniej nie zmalała. Przed pięćdziesięciu laty na 1,000 osób przypadało 7—8 ślubów małżeńskich rocznie, liczba ta wzrosła obecnie do 8,4. W okresie 1850—60 r. na 1,000 osób 7,8 par przystąpiło do ołtarza, podczas lat 1891 | 8 nieco więcej, gdyż 8,1. Oczywiście odnośna rubryka to kurczy się, to nieco nabrzmiewa, zależnie od rozmaitych czynników, ale bądź co bądź rozkwit przemysłu, a co za tem idzie, wystąpienie gromadne płci żeńskiej na pole pracy, o ile nie wchodzą w grę inne czynniki, sprzyjają raczej, nie szkodzą kojarzeniu się małżeństw, a tem samem powiększają liczbę mężatek. Literatura feministyczna stara się dowieść, ża tylko te kobiety, które rezygnują dobrowolnie lub dla smutnej konieczności z małżeństwa, imają się zawodu chlebodajnego. Ten nieomylny pewnik jednak stanowczo nie da się zastosować do ogółu kobiet pracujących. Jakeśmy widzieli, zamążpójście i fach bynajmniej się wzajemnie nie wykluczają, kwestya jednak gmatwa się nieco w tych wypadkach, gdy obowiązki małżeńskie idą ręka w rękę z pracą zawodową, tj. gdy kobieta, nie jak to było wyżej, przez pewien czas orze pole pracy fachowej, by je porzucić później dla małżeństwa i rodziny, lecz gdy usiłuje jednocześnie utrzymać się na obu stołkach i podołać obowiązkom związanym zarówno z położeniem ekonomicznem, jak stanowiskiem rodzinnem. Takich kobiet jest legion, gdyż aż 20% z górą wszystkich niewiast ekonomicznie niezależnych da się zaliczyć do tej kategoryi Oprócz tego cały milion wdów znajduje się w położeniu pokrewnem. Nastręcza się zatem pytanie, jak te dwa miliony istot godzą obydwie połowy swego życia? Jak w rzeczywistości ukształtował się stosunek pomiędzy dwiema sferami, z których każda ciągnie ku sobie zamężną, pracującą kobietę? Pytanie to rozpatrzymy szczegółowiej następnym razem. Dziś chcielibyśmy tylko na chwilę zatrzymać cię przy tej sposobności nad faktem dostrzeżonym w ostatnich czasach i dotyczącym małżeństw, które służą mimowoli jako ubezpieczenie na wypadek bezrobocia. Mianowicie żony są często zmuszone pracować po za domem jedynie dlatego, iż mężowie z tych lub innych powodów nie znajdują zajęcia. Tą drogą powstał, zdaniem inspektorów fabrycznych, jakby sezonowy podział pracy pomiędzy mężem a żoną. W niektórych zakładach apreturowych np. kobiety pracują tylko zimą, a więc w porze, kiedy ich mężowie mularze, cieśle, itd. nie mają zarobku. Wtedy głową domu jest małżonka, podczas gdy mąż, jak wyraźnie opisują te pe-

---

Józefowa wpatrzyła się w niego, podziwem zdjęta.

— Kpisz Kubo, czy co? a tociem od ciebie złamanego grosza nie widziała, a karmię cię przez pół darmo, gdy ty codzień jesteś w karczmie i tam niesiesz wszystko, co ci w łapy wpadnie.

— Gadaj głupiemu! a małom to stracił, baraszkując przy tobie, niby przy jakiej garderobianej przez tyle wieczorów? A przecież co raz to człowiekowi coś wpadłoby to za bydlę zafantowane, to od oryli za jaką przysługę. Czyż mało może się zdarzyć?

Józefowa została ujęta tem porównaniem do garderobianej, więc choć żal jej było pieniędzy, sięgnęła do skrzynki.

— Wezmę rubla to i dosyć — rzekła pojednawczo.

Wtedy karbowy już na dobre się rozgniewał i jął długo i szeroko gadać o tem, czem jest i jak mógłby się ożenić z łatwością choćby w Rozdolnej.

— Tylko żeś mi wpadła w oko, a siedzisz pod bokiem — dodał w końcu.

Daremnie kobiecina biadała, a nawet groziła zerwaniem układów; był nieugięty.

— Albo mi dasz trzy ruble, żebym się nie wydał przy ludziach jako twój parobek, albo nic z tego.

Wtedy wspomniała o stratach — już poniesionych, o tej obmowie, jaka ją dotykała od dłuższego czasu i wyliczyła żądane pieniądze. Ale zdało się jej w tej samej chwili jakoś dziwnie wyraźnie i jasno, że ten mąż przyszły i opiekun już teraz zaczyna ją krzywdzić.

Więc rzetelnie westchnęła po nieboszczyku Józefie i wnet otarła łzy fartuchem, postanawiając sobie w duchu, że po ślubie zamknie skrzynkę bezpowrotnie.

Kuba nie był jej nawet ani tak miłym, ani też pożądanym Wiedziała, że we dworze nie miał zachowania, tem ci zaś mniej u gospodarzy we wsi; wiedziano bowiem powszechnie, że często wysiaduje w karczmie i ma jakieś sprawy ze Szmulem.

Odumarła go żona, dzieci nie było, więc do chałupy wpadał niby po ogień i niknął, a tymczasem ludzie gadali, że ranki i wieczory spędza u niej i że na nią wydaje dużo.

Zrazu broniła się przeciw takim pomówinom, a Kubę raz i drugi cięła złem słowem i precz wypędzała, lecz on się śmiał, a czasem po pijanemu odgrażał.

— Co się tam będę z tobą zmagał, głupia, kiedy nikt mi ciebie nie zabierze z przed nosa i będę cię miał, kiedy sam zechcę.

Jakoż widziała ze smutkiem, że ci, którzy zrazu przez znajomych już ją zlekka nagabywali, teraz zamilkli lub w inną stronę się zwrócili

— Zły człowiek i tak blizki sąsiad to jak pies, któremu trzeba albo zejść z oczu, albo pozyskać go sobie groźbą czy prośbą, poradził strapionej organista za niecałe pół korca kartofli.

Na wspomnienie tych słów uczuła pewną otuchę i pośpieszyła za karbowym, okrywszy się dostatnią chustką i zaleciwszy Antkowi, ażeby chałupy pilnował.

Karbowy wnet ją namówił, ażeby wstąpili do karczmy.

— Zmienię papierek na drobne, to się da proboszczowi dwa złote—powiedział.

Podobała się jej ta zabiegliwa oszczędność Kuby, choć w karczmie przy zmianie papierka za gorzałkę, kawałek sera i papierosy drugie dwa złote zapłacili.

— Teraz będzie nam jakoś raźniej — mówił Kuba, śmielej sunąc ku plebanii i junacko wywijając kijkiem.

C. d. n.

ryodyczne zmiany ról, piastuje w sposób improwizowany dziecko, gotuje obiad i sprząta mieszkanie. Nadto ekonomiści zauważyli, iż w okresach ożywienia przemysłowego zmniejsza się poniekąd zaofiarowanie siły kobiecej, podczas gdy ze zwolnieniem tempa handlowego żony wyruszają w świat po zarobek, aby zluzować męża, obejmującego miejsce opróżnione po gospodyni domu. Stosunki te przypominają amerykańskie „women cities" (miasta niewieście), których fabryki zatrudniają wyłącznie kobiety. Oczywiście w tych wypadkach dwoistość roli kobiety zamężnej, jej podwójna buchalterya życiowa nie nastręcza wielkich trudności, albowiem, jak widzieliśmy, zwala ona część swoich obowiązków na małżonka. Są to wszakże wyjątki, które nic nie mają wspólnego z regułą. A o tej regule właśnie pomówimy następnym razem.

FEJLETON.

Z CZASU.

Sto lat wolności.

Sto lat temu przyszedł na świat człowiek, któremu idea wolności ukazała się za kontuarem. Mam na myśli Fryderyka Bastiat'a. Będąc początkującym kupcem, przyszedł do wniosku, że wykształcenie handlowca powinno wybiegać poza granice towaroznawstwa, że cała dziedzina nauk społecznych i ekonomicznych powinna być mu znaną. Propagując i popularyzując we Francyi teoryę Adama Smith'a o pracy, miał Bastiat swój własny pogląd na harmonię życia społecznego, oparty na wolności handlu i przemysłu. Gdy dzisiaj, po stu latach, cała gama ceł ochronnych parodyuje wszelkie pojęcie o wolności handlu, gdy zwrócimy uwagę na rozpasanie, jakie znamionuje tak zwaną wolność wytwarzania, gdy sobie uprzytomnimy fakt, że szwindle banków pruskich, może wbrew swojej woli, opłacać świat finansowy — nawet warszawski, mimowoli powstaje przed nami na ekranie sylwetek przeszłości duch Bastiat'a - marzyciela. Człowiek ten w początku swej karyery (rok mniej więcej 1820) nie mógł myśleć przy akompaniamencie harfy giełdziarskiej. Polityka Napoleona I nasunęła mu przekonanie, że nie system protekcyjny, lecz wolność wytwarzania prowadzi społeczeństwo do ekonomicznego rozkwitu. Widzimy, co się stało po stu latach. Dzisiaj fabrykant N. musi mieć powóz i konie, gdyż tego wymaga reprezentacya konkurencyjna; nie wolno mu nie wyjechać do Ostendy, gdyż wolność handlu w oczach jego współpracowników stałaby się w tym wypadku niewolą długów, niepozwalających na wyjazd. Dzisiejszy duch przemysłu przeklina swego praojca z epoki Bastiat'a, który nie przewidział, nie mógł przewidzieć, że nęcące widmo wolności będzie miało niewolnicze potomstwo. Obecnie panuje bezwzględna niewola wytwarzania tego, lub owego. Cała wolność robienia szpulek polega nie na tem, że się je pragnie wytwarzać, lecz na obliczeniu, czy przedsiębiorstwo zyski przyniesie. Konkurencya, nosząca maskaradowy tytuł wolnej, sprawia to, że siła produkcyjna mierzy się możnością prowadzenia walki z sąsiadem domowym, lub zagranicznym. Zdarzają się od czasu do czasu wybuchy produkcyi, która wydaje się zrazu rozkwitem przemysłu krajowego, a jest tylko wysypką gorączki giełdowej. Bankructwo czeka dziś wszelką „wolną" nieobliczoną próbę, a sama wolność ma płaszcz podziurawiony, który można załatać tylko—kapitałem. O czemś podobnem nie mógł myśleć Bastiat. Dlaczegóż wolność handlu tak się przeistoczyła? Dlatego, że od chwili jej ogłoszenia, nigdy się nie ujawniła samoistnie. W działalności Napoleona wystąpiła ona, jako czynnik bojowy i przez to samo nie mogła mieć skutków wypływających z wolności. Stała się nawet rzecz przeciwna: oto Anglia wyodrębniła swój przemysł względem kontynentu i pozyskała nieporównaną flotę. Ale Anglię stać było na wolność. Samo to pojęcie traci racyę bytu wobec braku środków materyalnych. Widzimy, że nie wszystkie państwa i nie wszystkie produkty stały się powszechnie użytecznymi. Zdobycie rynków warunkuje się nietylko jakością produktów, ale jak to widzimy w Niemczech, przewagą polityczną i żywotnością narodową. Można powiedzieć, że Niemcy zdobyli sobie krwawo możność zarzucania kuli ziemskiej swoją tandetą. Wobec tego należy obecną wolność handlu zamienić w ten sposób, żeby z niej czynnik woli podporządkować czynnikowi możności: zapełniam rynki mojemi towarami, gdyż mogę to robić. Bastiat zdziwiłby się niepomiernie, gdyby się przekonał, że można nie mieć chleba dla siebie, wytwarzając go bardzo dużo, że stosunek urodzaju do ceń zboża w danej okolicy może być pozbawionym logiki, dlatego, że ceny dyktuje oddalony rynek zagraniczny, który jednak zboża od nas nie potrzebuje. Cóż więc uratowało się z teoryi Bastiat'a o wolności? To, co wywołało w jego umyśle samo pojęcie—świadomość siły. Ona w każdej postaci pcha człowieka do czynu. Im lepiej dzieje się narodowi, tem ona jest większą i płodniejszą. Naród taki rozpościera się, rośnie i coraz więcej wytwarza, ale korzysta wówczas nie z czyjegoś pozwolenia, lecz z własnej mocy.

Gdyby wypadło postawić gdziekolwiek w Europie pomnik Bastiat'a, rzecznika teoryi wolnego handlu, byłby to pomnik nie wolności, lecz—siły.

Tadeusz Ulanowski

BADANIA NAUKOWE.

HISTORYA.

N. Szildier: *Nikołaj I i Polsza* „Russkaja Starina" 1900 r.

Nazwisko generała Szildiera nie powinno być obcem czytelnikom naszym. Zasłużony biograf Aleksandra I w poprzednich swych pracach okolicznościowo raczej zajmował się naszą historyą XIX wieku, a jednak z badaniami jego dotychczasowemi poważnie liczyć się wypada. Dość przypomnieć wyjaśnienie genezy Księstwa Warszawskiego, tak odmienne od dotychczas przyjętego w nauce. Teraz mamy do czynienia z fragmentem większej pracy o panowaniu cesarza Mikołaja I, fragmentem całkowicie poświęconym sześcioleciu dziejów Królestwa Kongresowego, a przynoszącym fakty i dokumenty zupełnie dotychczas nieznane, pierwszorzędnej wagi nietylko pod względem historycznym. Autor traktuje roztrząsane przez siebie stosunki z punktu widzenia państwowego i dość łatwo wskazać, po czyjej stronie jest jego sympatya, gdy mówi o poglądach Cesarzewicza Konstantego i Cesarza Mikołaja, gdy zestawia dwa systematy państwowe: Cesarza Aleksandra I i jego następcy. Przedewszystkiem jednak chodzi mu o źródłowe wyczerpanie przedmiotu, o jasny, przejrzysty, obraz wypadków.

Czysto chronologiczny układ jego pracy pozwala nam w sprawozdaniu powiązać podane przezeń fakty z naszym materyałem historyograficznym, z naszym dawnym sposobem zapatrywania się na roztrząsane przez autora stosunki.

Według naszych dawnych autorów — wytworzenie Królestwa Kongresowego— było wynikiem dążenia mocarstw kongresowych do przywrócenia stanu rzeczy z przed rozbiorów. Jest to niesłusznem. Dość wziąć do ręki choćby pracę Szildiera o Aleksandrze I, przeczytać z niej rozmowę Cesarza z Talleyrandem, żeby przekonać się jaką rzeczywiście rolę odegrywało to pozorne dążenie. Mocarstwa dążyły raczej do przywrócenia stanu rzeczy, zagwarantowanego traktatami z r. 1797, dążyły wbrew tendencyom jednoczącym Aleksandra I, tendencyom, które znalazły wyraz przed kongresem w umowie z Prusami, w stworzeniu Komitetu organizacyjnego wojskowego w Warszawie. Starcie tych dwu dążeń dało jako wypadkową Królewstwo Kongresowe. Tylko konstytucya Królewstwa była poniekąd wynikiem kongresu, tylko zagwarantowanie jej „rozpostarcia wewnętrznego." Konstytucya ta miała być w pojęciu mocarstw tamą, w pojęciu Cesarza Aleksandra I aktem łaski dla ludności, której sympatyę dla widoków politycznych Rosyi pozyskać wypadało. Z jednej więc i drugiej strony — wytworzony stan rzeczy uważano za czysto przejściowy. Wojsko Królestwa miało być w tem położeniu albo barykadą, albo strażą przednią, w jednym i drugim wypadku miano na myśli wojsko, ono stanowiło istotę nowej kreacyi politycznej.

Konstytucya, zwłaszcza po przemianie jej z zasad do konstytucyi, na kartę konstytucyjną, nie dawała powodu do celowego, stopniowego podważania jej, tak samo jak i obietnica „wewnętrznego jej rozpostarcia." Przeciwny pogląd Mochnackiego jest wynikiem niezrozumienia stanowiska Cesarza Aleksandra I.

Stanowisko to—niebezpieczne, jak każda szersza koncepcya, a jednak głęboko celowe—odrzucało dawną, węższą koncepcyę Katarzyny II. Za jej panowania poprzestano ostatecznie na zajęciu ziem, w których żywioł polski był stosunkowo nieliczny, zrezygnowano z dawnych, śmielszych zapędów Piotra Wielkiego. Zajętą zaś część uważano za prawnie przypadającą, powoływano się ciągle na prawo historyczne. Cesarzowa Katarzyna odmawiała przyjęcia tytułu królewskiego, mówiąc, że nie posiada ani piędzi ziemi polskiej. Ten pogląd utrwalił się naówczas w Rosyi, dla której panowanie Katarzyny II było prawdziwą szkołą polityczną. Za panowania Aleksandra I do zwolenników tego poglądu należą nietylko Pozzo di Borgho i Karamzin, ale i dekabryści, „sprawa polska, rzekł Cesarzewicz Konstanty, stała się skałą, o którą rozbiła się popularność Cesarza Aleksandra," bo cesarz Aleksander I stanął na innem stanowisku, śmielszem i naturalniejszem, wymagającem ciągłego powoływania się na prawa historyczne, a jednak energiczniej prowadzącem do celu. Liczył on, że stopniowy udział ludności polskiej w polityce, w dążeniach państwowych Cesarstwa siłą rzeczy doprowadzi do zjednoczenia zupełnego, do zatarcia antagonizmów dawniejszych; liczył, że może więcej głosów podniesie się za planami, które przeprowadzał Staszyc w swych „Myślach o równowadze politycznej." I ten punkt widzenia, odsuwający na razie konieczność używania doraźnych środków centralizacyi popierał szczerze przez cały ciąg swego panowania. Dlatego nadał Królestwu konstytucyę liberalną, dlatego poczynił wiele kroków, a więcej jeszcze obietnic, w sprawie wewnętrznego rozpostarcia tej

konstytucyi. W pracy generała Szildiera ta ostatnia strona sprawy znalazła wyczerpujące oświetlenie w listach Cesarzewicza Konstantego do Cesarza Mikołaja. Nie było to więc czysto platonicznem przypuszczeniem naszych mężów stanu, przeciwnie — polityka Cesarza Aleksandra I tak ugruntowała w nich podobne nadzieje, że w decydującej chwili zdobyli się tylko na misyę Lubeckiego i Jezierskiego. Co się zaś tyczy konstytucyi, to zmiana stosunku względem niej Cesarza Aleksandra wynikła wyłącznie z naturalnego odruchu, z samej natury rzeczy. Gdy w r. 1814 Cesarz zwiedzał Anglię, wigowie tak mu się podobali, że uznawał konieczność racyonalnej opozycyi parlamentarnej, uznał ją w Królestwie w r. 1818, ale dalej uznawać było trochę trudno, zwłaszcza, że nie chodziło tu o księcia regenta, a w Warszawie nie było salonów pani Liven.

Czy jednak cała koncepcya Cesarza Aleksandra nie stała w zbyt ostrej sprzeczności z całą przeszłością obu sprzężonych organizmów? W umyśle Cesarza dzieło r. 1815 było naśladowaniem polityki Napoleona. Królestwo Kongresowe miało być powtórną edycyą Księstwa Warszawskiego. Tylko że wtedy strona konstytucyjna miała rzeczywiście znaczenie podrzędne, polityka Francyi nie przeczyła tradycyom politycznym ludności Księstwa, lecz wbrew nawet woli swego kierownika, umiała iść z nią w zgodzie, dawać Księstwu pozytywne rezultaty, jak np. w r. 1809. Teraz zaś miała się ona ostrzem swojem zwrócić przeciw Turcyi, a w Królestwie zapomniano o tradycyach Sobieskiego i o Warneńczyku bezpowrotnie.

Trembecki nie był już popularnym poetą. Jeszcze o Turcyę mniejsza, ale, gdy ostrze miało się zwrócić przeciw Francyi i Belgii w roku 1830, sprawa stawała się bardzo poważną. Zgniecenie bowiem wpływu tych państw—pod względem międzynarodowym—miałoby dla ludności Królestwa ten sam skutek, co w swoim czasie wojny ze Szwecyą, a jedyną nagrodą tej zmiany frontu, po za wynikami moralnymi, mogła być tylko zmiana charakteru wojska Królestwa, czemu zresztą konstytucya nie stawała na przeszkodzie. Nie była to więc kwestya czysto akademicka etyki politycznej, ale kwestya bardzo realna zamiany karty konstytucyjnej na statut organiczny, bo przecie statut jest tylko kartą konstytucyjną, z pominięciem paragrafu o wojsku.

To było węzłem gordyjskim dzieła roku 1815. Nie rozcinano go pod koniec panowania Aleksandra, bo wtedy wogóle żadnych węzłów nie rozcinano.

(D. n.).

Dr. Wacław Tokarz.

FOTOGRAFIA BARWNA.

Znany fizyk francuski, prof. Lippmann, rozstrzygnął zasadniczo trudną sprawę fotografowania barw naturalnych. Sposób jego polegał na wytworzeniu w łonie czułej błony warstw cieniutkich srebra metalicznego, które dają wrażenie kolorów na zasadzie interferencyi, jak np. bańki mydlane, tłuszcz rozlany na powierzchni wody itd.

Postępował on w ten sposób, że przechodzącym przez wrażliwą warstwę płytki promieniom kazał się odbijać od zwierciadła i wracać tą samą drogą. W tym wypadku promienie świetlne wytwarzają t. z. frenzlę interferencyjną, składającą się naprzemiany z ciemnych i jasnych punktów, odległość których pomiędzy sobą zależy od długości fali świetlnej, a więc od barwy promienia. Tak przygotowana klisza, na zasadzie zjawiska interferencyi. w odbitem świetle oglądana, ma barwy odpowiadające naturalnym kolorom fotografowanego przedmiotu; pod światło zaś obraz nabiera barw dopełniających do naturalnych.

Metoda Lippmana z teoretycznego punktu widzenia jest znakomitą; rozwiązuje bowiem zadanie bezpośrednio i bardzo prosto. Inaczej jednak wyraża się o niej praktyka. Naprzód barwy otrzymane za jej pośrednictwem są blade, nikłe, podrugie obraz nie pozwala się kopiować na papierze, co stanowi najznaczniejszą jego wadę.

Aż dotąd metoda powyższa nie rozwinęła się wcale, zarzucono ją więc i zwrócono się w innym kierunku. Zjawiło się parę innych sposobów, o których powiedzieć chcemy słówko ze względu, że fotografia kolorowa jest niezmiernie ciekawem zagadnieniem teoretycznem oraz stanowi cel upragniony dla wielu zwolenników.

Sposób Ducsa i Haurona. Dla otrzymania wszelkich barw i odcieni wystarczają, praktycznie rzeczy biorąc, trzy zasadnicze kolory: czerwony, niebieski i żółty. Rozkładamy przeto obraz barwnego przedmiotu na trzy oddzielne obrazy, fotografując go oddzielnie przez trzy szkła odpowiedniej barwy. Negatyw czerwony będzie zawierał wszystkie części obrazu, wysyłające promienie czerwone, niebieski — niebieskie i t. d. Nakładając jeden na drugi trzy obrazy o pojedynczych barwach, tak aby się ściśle pokrywały wzajemnie, otrzymamy obraz fotografowanego przedmiotu w barwach naturalnych.

Stosując tę zasadę w praktyce, pierwsi wynalazcy otrzymali jednak kiepskie rezultaty; naprzód dlatego, że nie znano dawniej płytek jednako wrażliwych na wszystkie kolory, a powtóre, że dobierali całkiem dowolnie trzy zasadnicze barwy. Postęp stał się możliwym od chwili, kiedy w 1873 r. Vogel wynalazł płyty, czułe w równym stopniu na czerwone, jak i na niebieskie promienie. Vogel odkrył prawo fizyczne, na zasadzie którego te tylko promienie działają na płytę, jakie ona pochłania. Osiągnął on więc żądaną wrażliwość, dodając do emulsyi tych barwników, na jakie klisza miała być czułą. Proces ten znany jest pod nazwą ortochromatyzowania klisz. Tak spreparowane płytki znajdują się gotowe w handlu (panchromatyczne klisze).

Odkrycie Vogela przyczyniło się do rozwoju t. z. *Dreifarbendrucku* czyli litografowania barwnych rysunków przy pomocy trzech tylko zasadniczych kolorów. Jakże otrzymujemy *zasadnicze* płyty? Zupełnie w ten sam sposób, co zwyczajne klisze fotograficzne. Fotografując, dążymy do otrzymania czarnego obrazu danego przedmiotu, i osiągamy to, pozwalając działać na płytkę światłom t. j. jasnym częściom obrazu, a *nie* pozwalając działać cieniom... Jeżeli zaś pragniemy otrzymać czerwoną płytę do druku, musimy przygotować kliszę, na którą działały wszystkie promienie, biegnące od obrazu, *z wyjątkiem czerwonych.* Na tak otrzymanym negatywie czerwone miejsca obrazu będą przezroczyste; kopiując czerwony negatyw na warstwie żelatyny chromowanej, widzimy, że światło oddziała na ową warstwę tylko w miejscach, odpowiadających czerwonemu kolorowi i uczyni w nich żelatynę nierozpuszczalną w wodzie. Nadając na taką zwilżoną płytę czerwoną farbę przekonamy się, że przylega ona tylko do naświetlonych punktów, odpowiadających czerwonym punktom oryginału. Ażeby jednak mieć negatyw, na który by nie działały promienie czerwone, musimy filtrować światło dochodzące od przedmiotu przez szkło, pochłaniające czerwone promienie, a więc przez szkło barwy dopełniającej — zielonej.

Prócz tego, na zasadzie prawa odkrytego przez Vogela, musimy uczynić płytkę zdolną do pochłaniania zielonych promieni, a to się daje uskutecznić przez dodanie do emulsyi czerwonego barwnika, a zatem tego samego, jakim następnie będziemy powlekali płytkę do druku.

Stąd wypływa drugie niezmiernie ważne prawo dla trójbarwnego druku: drukować należy tą samą farbą, która posłużyła do uczulenia płytki fotograficznej, albo inną, pochłaniającą te same promienie świetlne. Przepis ten nie pozwala więc dowolnie wybierać farb do reprodukcyi, ale każe się w tym względzie stosować do praw fizycznych. Dzięki tym wskazówkom osiągnięto bardzo piękne rezultaty i zastosowano niezwłocznie nowy sposób do cynkotypii i uczyniono go dostępnym dla wydawnictw peryodycznych i książek. Nowa metoda znajduje, jak dotąd przynajmniej, najlepszych wykonawców w Niemczech i we Francyi; pisma nasze, np. *Tygodnik ilustrowany*, usiłowały ją wprowadzić, ale otrzymano reprodukcye poniżej krytyki, zapewne z powodu nieznajomości rzeczy.

Na tej pośredniej metodzie rozkładania kolorowego oryginału na trzy zasadnicze barwy, czerwoną, niebieską i żółtą, przez fotografowanie na trzech rozmaicie uczulonych płytach i składania zasadniczych kolorów w pierwotny, wielobarwny obraz, polega wynalazek zarówno fotografii barwnej, jak i reprodukcyi fotomechanicznej, która ma przed sobą wielką przyszłość.

Zasługa zastosowania powyżej opisanego sposobu do zdjęć fotograficznych należy się Vidalowi, Sellemu, a głównie pp. Augustowi i Ludwikowi Lumiere, fabrykantom klisz w Lyonie.

Sporządzają oni, na wspomnianych zasadach, trzy negatywy, fotografując przez szkła pomarańczowe, zielone i fioletowe. Te trzy negatywy są następnie kopiowane w odpowiednich, dopełniających kolorach jeden na drugim na wspólnej płytce, sposobem pigmentowym. Dodając do żelatyny chromowanej pewnych nierozpuszczalnych substancyj, np. bromku srebra, bracia Lumiere zmodyfikowali wspomniany sposób, tak iż otrzymują wszelkie pośrednie tony. Sama czynność odbywa się jak następuje: Płytkę szklaną powlekamy naprzód żelatyną chromowaną, zawierającą czerwony barwnik i bromek srebra, a skoro wyschnie, kopiujemy na niej czerwony negatyw. Na naświetlonych (odpowiadających czerwonym promieniom) miejscach żelatyna chromowana staje się nierozpuszczalną; obmywamy więc płytkę w ciepłej wodzie, utrwalamy w podsiarkonie sodu, który rozpuszcza bromek srebra i otrzymujemy czerwone części obrazu. Suszymy płytki, oblewamy kolodyonem i powlekamy drugą warstwą żelatyny, ale tym razem zabarwionej na niebiesko, poczem kopiujemy na niej niebieski negatyw. Opłukawszy ją, utrwaliwszy i oblawszy kolodyonem, otrzymujemy obraz niebieski, nałożony na czerwony. Te dwie barwy odtwarzają pewną liczbę kolorów, ale nie wszystkie; trzeba jeszcze w powyższy sposób skopiować i trzeci negatyw — żółty. Teraz dopiero występuje obraz w naturalnych kolorach i o bardzo delikatnych odcieniach. Jeżeli chcemy, to możemy zdjąć żelatynową powłokę z kliszy szklanej i przenieść ją na biały papier, ale takie fotografie jeszcze nie pojawiły się w handlu.

Próbowano robić według przepisu podanego w patencie Lumiera fotografie kolorowe, ale nie zdołano osiągnąć tej delikatności tonów i czystości barw, jaka cechuje oryginały — widzimy więc, że br. Lumiere trzymają coś w sekrecie.

W sposobie Lumiera obraz jest rzeczywistym; można jednak dokonać syntezy barw przez nakładanie jeden na drugi obrazów niemateryalnych — optycznych

Dokonywamy tego za pośrednictwem t. zw. chromoskopu Ivesa.

Naprzód zdejmujemy w powyżej opisany sposób trzy obrazy jednego i tego sa-

mego przedmiotu przez ekrany czerwony, zielony i niebieski. Otrzymujemy następnie trzy diapozytywy na zwyczajnych płytkach podług negatywów; na diapozytywach przezroczyste części odpowiadają barwie ekranu, użytego przy zdjęciu.

Umieszczone w chromoskopie diapozytywy rozpatrujemy przy dziennem świetle po za ekranem: światło, przechodząc przez szkło czerwone i przez „czerwony“ diapozytyw, daje obraz, zawierający czerwone części fotografowanego przedmiotu; to samo powtarza się z dwoma pozostałymi diapozytywami. Trzy jednakowe obrazy ulegają odbiciu od zwierciadeł w ten sposób, iż padają na jedno i to samo zwierciadełko, promienie mieszają się, tworząc wielobarwny, naturalny obraz, widziany okiem patrzącego.

Wyżej omawiane metody wymagają zdejmowania trzech negatywów i diapozytywów. Joly zaś bardzo dowcipnie łączy trzy jednobarwne płytki w jednej; dosięga on celu, używając tafli szklanej, pokrytej bardzo delikatnemi, ściśle obok siebie leżącemi, przezroczystemi liniami czerwonemi, zielonemi i niebieskiemi. Taki trójbarwny raster nakłada się przed zdjęciem na kliszę. Przez czerwone linie działają na czułą warstwę tylko czerwone promienie, podobnie rzecz się ma z innymi. Wykończony negatyw wydaje się poliniowany, ale każda linia odpowiada jednej z trzech zasadniczych barw.

Wyobraźmy sobie trzy negatywy odrębne, zrobione sposobem Ivesa, pocięte na drobniutkie paski, które następnie układamy w ten sposób, aby skrawek zielony szedł po czerwonym, niebieski po zielonym itd. Oto jest właśnie negatyw Joly'ego. Z takiego negatywu otrzymujemy diapozytyw, który, rzecz naturalna, nie wykazuje żadnego zabarwienia, tylko czarne z białem. Jeżeli jednak taki diapozytyw będziemy rozpatrywali pod rastrem, to ujrzymy obraz w naturalnych kolorach. Wszystkie np. czerwone punkty oryginału działały przez czerwone linie rastru i wywołały czarne kreski na negatywie; tymczasem na diapozytywie te same kreski wychodzą przezroczysto i pod rastrem wydają się czerwone, jak w naturze. Tak samo dzieje się z miejscami zielonemi i niebieskiemi.

Bardzo delikatne i zbliżone do siebie linie nie są jednak odróżniane pojedynczo przez oko; zlewają się one, kombinują, wytwarzając barwy pochodne, a więc obraz przybiera koloryt naturalny.

Ażeby jednak koloryt ten odpowiadał ściśle prawdziwemu, trzeba użyć do rozkładu obrazu innych barw, aniżeli przy składaniu, t. z. mieć dwa rastry. Wogóle przygotowanie takich rastrów nastręcza znaczne trudności; linie powinny znajdować się przynajmniej w liczbie 9 na jeden milimetr, a grubość każdej nie może przenosić $^1/_{18}$ milimetra. Poliniowanie tak delikatnemi i w dodatku barwnemi kreskami płytki szklanej stanowi zadanie niełatwe; nie należy się też dziwić, że rastry Joly'go są jeszcze bardzo drogie.

Z podanego zarysu usiłowań, mających na celu fotografowanie przedmiotów w ich naturalnych barwach, widzimy, że sprawa dotąd oczekuje na rozwiązanie; wszystkie bowiem wynalezione już metody, z wyjątkiem lipmanowskiej, niepraktycznej, są właściwie wyminięciem przeszkód, nie zaś ich pokonaniem. Na bezpośrednie rozstrzygnięcie zadania wypadnie poczekać jeszcze; kto jednak chce, ten dziś już może z pewnym nakładem pracy robić barwne fotografie jedną z opisanych metod.

W. U.

LITERATURA I SZTUKA.

Fryderyk Henryk Amiel

(1821—1881)

(PRZYCZYNEK DO PSYCHOLOGII WSPÓŁCZESNEJ).

II.

„Kiedy myślę — pisze Amiel (*Journal intime*, II, 18—19) — o wszelkiego rodzaju intuicyach, dokonanych przeze mnie, rozpoczynając od młodocianego wieku, wydaje mi się, żem przeżył wiele dziesiątków, a nawet setek istnień. Odtwarzam w sobie z łatwością myślowo każdą osobistość charakterystyczną, lub raczej ona to chwilowo kształtuje mię na swój obraz i podobieństwo, tak że dla zrozumienia tego nowego upostaciowania istoty ludzkiej wystarcza mi żyć i obserwować, jak żyję i czuję ja sam w danej chwili. W ten to sposób byłem już matematykiem, uczonym, erudytą, mnichem, dzieckiem, matką itp. W tym stanie sympatyi powszechnej bywałem nawet zwierzęciem lub rośliną, tem lub innem zwierzęciem określonem, tem albo innem drzewem. Te ostatnie metamorfozy zadziwiały nieraz moich przyjaciół, nawet najbardziej subtelnych.“

Nie trzeba mówić, jak wielkie znaczenie może posiadać ten dar sympatyi, rozwiniętej do tak wyjątkowej potęgi, jak widzimy to u Amiela. Dar taki niezbędnym jest i nieocenionym dla poety, tego *par excellence* twórcy dusz; wielkie jednak usługi oddaje on i na innych polach. Za jego to pomocą udało się Carlyle'owi odtworzyć posępne, trawione ogniem wewnętrznym dusze ukochanych przezeń purytanów; ta sympatya wprowadzała Micheleta w samo wnętrze życia całych epok historycznych, oddzielnych wybitnych jednostek, a nawet istot tak od nas odległych, jak ptak albo owad. Szczególnie zaś krytyk literacki powinien posiadać w sobie rozwiniętą tę zdolność. Jego zadaniem właśnie jest patrzeć cudzemi oczyma, czuć cudzem sercem, myśleć obcemi myślami i spowiadać się przed czytelnikami z doznanych w ten sposób wrażeń. W prawdzie zwykle dzieje się inaczej, krytyk stara się nie przelać całkowicie swego „ja“ w duszę autora, z którego dzieł zdaje on sprawę, lecz wprost przeciwnie — podnosi on punkty, co do których różni się od tego autora i na podstawie tych różnic feruje swe nieodwołalne i ogólnie obowiązujące wyroki; to też właśnie dlatego i dziś jeszcze mógłby się nieraz skarżyć Flaubert na brak zupełny krytyka bratniego ducha, „krytyka, który byłby tylko artystą i niczem więcej, jak artystą.“ Amiel miał też niewątpliwie dane na niepospolitego krytyka: świadczą o tem w jego dzienniku wzmianki i uwagi o przeczytanych książkach. Można więc żałować wraz z Renanem, że nie osiadł on w Paryżu, gdzie ruchliwy duch Sainte-Beuve'a pociągnąłby go w swoje szlaki. Stało się jednak inaczej: prawie całe swe życie spędził on w Genewie, niemal samotnie, zdala od wielkich środowisk życia umysłowego. Pozbawiony podniet, jakie napotkałby niechybnie w tych ogniskach, zwrócił się Amiel wyłącznie ku wnętrzu własnej istoty, do czego usposobiło go zresztą wątłe zdrowie i protestantyzm, który pozostawił w nim głębokie ślady. Jego niepospolita zdolność sympatyi powszechnej łącznie z tą „interyoryzacyą,“ jak sam on się wyraża, złożyły się na utworzenie duchowej jego postaci. W innych warunkach postać ta mogłaby być cokolwiek inną, i powtarzam, że można nawet tego żałować: wątpię jednak, ażeby żal ten mógł się ostać wobec myśli, że wtedy Amiel przestałby być takim, jakim go znamy na podstawie jego dziennika i jakim musimy go pokochać po bliższem poznaniu.

Zdolność ta jednakże odtwarzania w sobie cudzych myśli i uczuć, która może się stać źródłem wielu istotnych objawień historycznych lub psychologicznych, dla samego osobnika, przez nią uprzywilejowanego, stanowi wielkie niebezpieczeństwo. Niewątpliwie bowiem działa ona rozkładowo na jego własną osobowość, na jego własny sposób myślenia i czucia. Amiel spostrzega to dobrze: „Pozostawiony samemu sobie — powiada on (*Journal intime*, II, 63—65) — jestem, że tak powiem, w stanie płynnym, nieokreślonym, jak gdyby każda forma była dla mnie czemś zewnętrznem, czemś obcem i narzuconem, co mnie kaleczy. Wszystkie myśli, zasady, przyzwyczajenia wygładzają się we mnie, jak wygładzają się zmarszczki fali na wodzie. Moje ja pozbawione jest całkiem osobowości, jestem w stosunku do innych ludzi tem, czem jest koło względem wielokątów; jestem wszędzie u siebie, gdyż nie mam żadnego „siebie,“ któreby było moją wyłącznie własnością.“ W samej rzeczy nie trudno zrozumieć, jakie zaburzenia może wywołać zwyczaj odtwarzania w sobie dusz innych: różnice pomiędzy tem, co Taine nazywa „osobowością przyrodzoną“ i tem, co nazywa „osobowością sztuczną lub nabytą,“ muszą zacierać się coraz bardziej, coraz bardziej też musi wzrastać skłonność do traktowania nawet własnych myśli i uczuć tak, jak traktowałoby się uczucia i myśli odtworzone, to jest do widzenia i w tem nawet, co stanowi wyłączną przynależność naszego „ja“ — jedynie materyału do psychologicznych obserwacyj i doświadczeń.

Nietzsche spostrzega to doskonale i daje w swem „Jenseits von Gut und Böse“ niezrównaną analizę tego, co nazywa on „człowiekiem przedmiotowym.“ Nietzsche jest przedewszystkiem jednym z najwybitniejszych psychologów doby współczesnej: orlim swym wzrokiem zajrzał on niejednokrotnie w samą głębię ducha rówieśnych swoich i dojrzał tam rzeczy niedostępne dla oczu mniej przenikliwych. Do rzędu takich spostrzeżeń należy i wyżej wspomniana analiza, o której często można pomyśleć, że była pisana o Amielu i na jego podstawie: tak w wielu punktach spotykają się oni obaj ze sobą.

„W samej rzeczy — powiada Nietzsche („Jenseits von Gut und Böse,“ str. 150) — człowiek przedmiotowy jest tylko zwierciadłem tego wszystkiego, co może się w niem odbijać, tego wszystkiego, co może być poznanem, nie ma on innej rozkoszy jak tą, którą daje odzwierciadlanie lub poznanie czegoś. Czeka on, aż się nasunie coś, coby poznanem być mogło i wtedy zwraca ku temu czemuś swoją powierzchnię tak subtelną, że nawet powiew przelotny zjawisk czysto duchowych odbija w niej swój obraz. To, co w nim pozostaje z jego własnej osobowości, wydaje mu się czemś, co mu jedynie przeszkadza często w jego poznawczej czynności; tak bowiem stał się on tylko miejscem, przez które przechodzą i w którem odbijają się obce dlań w gruncie rzeczy przedmioty i wydarzenia. O sobie samym przypomina on sobie z trudnością i wysiłkiem... chciałby on nieraz myśleć o tem, co mu dokucza i przymusza się nawet do tego, ale napróżno. Myśl jego dąży już dalej, wznosząc się ku uogólnieniom zajmującego go wypadku. Siebie samego oduczył się traktować człowiek przedmiotowy poważnie“ — dodaje w tem samem miejscu Nietzsche.

W dzienniku Amiela napotykamy mnóstwo spostrzeżeń, które potwierdzają najzupełniej tę po mistrzowsku zaiste postawioną dyagnozę.

„Moim przywilejem jest — powiada Amiel (I, 64—65) — być widzem na przedstawieniu własnego życia, zachować świadomość tragikomedyi własnego przeznaczenia, a nawet, co więcej, posiadać sekret autora tej tragikomedyi, to znaczy, że nie mogę traktować poważnie swych własnych złudzeń. Patrzę na samego siebie, jak gdyby z sali widzów na scenę, na swe własne istnienie, jak gdyby z po za grobu.“

W innem miejscu mówi on: „Zawsze uważałem samego siebie za materyał do studyowania. Tem, co mnie w samym sobie najbardziej interesowało, była przyjemność posiadania pod ręką kogoś, czyje przeobrażenia, uczucia i pokusy mogłem studyować jako autentyczne okazy natury ludzkiej, nie narażając się na zarzut natręctwa lub niedyskrecyi“ (I, 245).

Kiedy takie usposobienie spotykamy u człowieka o charakterze kontemplacyjnym i upodobaniach teoretycznych, nie widzimy w tem żadnego niebezpieczeństwa, przeciwnie, gotowi jesteśmy z radością powitać w nim niepospolite uzdolnienia psychologiczne. Jakże inaczej przedstawiłby się nam nałóg traktowania siebie samego jako materyału dla doświadczeń w człowieku, u którego myśl krystalizuje się z łatwością w czyn, z łatwością przybiera krew i ciało!

„Spostrzegam u siebie— powiada Amiel (II, 194—195) — powinowactwo z geniuszem indyjskim, tym geniuszem, w którym wyobrażenia, marzenie i myśl spekulacyjna przeważają tak niezmiernie nad innemi siłami ducha. Brak całkowity osobowości i woli, panteistyczna bezinteresowność, rozpłynięcie się zupełne mojego „ja“ w wielkiej całości, kobieca łagodność, wstręt do przelewu krwi i do czynu napotykam zarówno u braminów indyjskich, jak i we własnej istocie, przynajmniej takiej, jaką uczyniły ją lata i okoliczności. Rzeczą niezmiernie trudną jest dla mnie zachowanie przesądu jakiejś specyalnej formy, czy to narodowościowej, czy też indywidualnej; stąd — moja obojętność dla mej własnej osoby, dla mojej korzyści i dla moich chwilowych przekonań. Cóż to oznacza? Ból nas umiejscawia, miłość wyszczególnia, ale myśl nas „depersonalizuje.“ Być tym albo innym człowiekiem — co za nędza; być człowiekiem wogóle — to jedno pociąga.“

Ten „pociąg ku bezimienności“ może dać się uczuć każdemu w chwilach zmęczenia walką życiową, jako usposobienie trwałe jednak czyni on nas niezdolnymi do tej walki zupełnie, uniemożliwia czyn, tę rzecz najbardziej osobistą. „Nie wymagajcie miłości lub nienawiści od człowieka przedmiotowego — powiada Nietzsche — uczyni on i da to, co będzie mógł uczynić i dać; nie należy się jednak dziwić, że będzie to mało, bardzo mało.. Jego miłość będzie wymuszoną, jego nienawiść sztuczną, będzie to raczej *tour de force*, jak uczucie“ („Jenseits von Gut und Böse,“ str. 151). Czyż nie jest takim *tour de force* rola, jaką odgrywa Juliusz Lemaître, autor „Współczesnych“ i „Serenusa“ w lidze patryotycznej? Czyż nie lepiej wobec tego jest pozostać tak, jak Amiel, „jedynie wiązką zjawisk duchowych dla obserwacyi, jakąś osobą bezosobową, podmiotem bez wszelkiej indywidualności, czemś czysto formalnem, bez wszelkich dalszych określeń?“ „Człowiek przedmiotowy—mówi Nietzsche (l. c., s. 151) — pozostaje szczerym o tyle tylko, o ile jest on przedmiotowym; jedynie w swym pogodnym totalizmie jest on jeszcze naturą i naturalnym.“

Ażeby więc pozostać naturalnym, musi zrezygnować z wszelkiej działalności, tego istotnego *principium individualionis*; z trudem przychodzi mu nawet tak zgodna z jego duchową naturą działalność literacka. Stąd więc pochodzi bezpłodność pisarska Amiela. Pisać jest także czynem i czyn ten, jak wszelkie inne, wymaga zamknięcia swojego „ja“ w pewnych określonych granicach. Trudno jest zdecydować się patrzeć na świat z pewnego określonego punktu widzenia, skoro się wie, że takich punktów może być bardzo wiele, skoro się czuje równie zdolnym do zajęcia każdego z nich.“ Wielokrotnie Amiel postanawia pozostać takim, jakim jest, zatrzymać się na jakiejś poszczególnej formie myślenia i czucia, zapomnieć o wszelkich innych znanych mu formach. „Napróżno jednak— pisze on — myśl o tem, co mogłoby być, zabija zawsze to, co już jest we mnie.“ Z tego zaklętego koła było tylko jedno wyjście: trzeba było, aby coś ze świata zewnętrznego zajęło tak mocno Amiela, wchłonęło go tak całkowicie, izby zapomniał on o wszystkiem innem; temu jednak na przeszkodzie stała jego „interyoryzacya.“

Niezdolność ta do czynu wpłynęła nietylko na uzewnętrznienie się osobowości Amiela, ale raczej na brak prawie zupełny takiego uzewnętrznienia, odbiła się ona i pozostawiła ślady w samych wewnętrznych właściwościach jego istoty. Wyrobienie sobie przekonań jakichkolwiek jest sprawą, w której nasze „ja“ nie pozostaje bynajmniej bezczynnem. Mamy tu do czynienia z wyborem, a wszelki wybór jest przecież czynem. Wyboru tego dokonywają w nas nasze uczucia najbardziej wybitne i najsilniej rozwinięte. One to stanowią coś w rodzaju centrów krystalizacyi, coś w rodzaju stałych punktów, naokoło których grupują się i skupiają inne, bardziej bierne pierwiastki naszej świadomości, a więc przedewszystkiem pierwiastki czysto poznawcze. Jeżeli jednak uczuć takich, które mogłyby odegrać rolę centrów skupienia, jest zbyt wiele, i jeżeli są one zbyt różnorodne — wszelki wybór, wszelka organizacya stała naszych poglądów staje się rzeczą niemożliwą. „Wysubtelniony przez niezliczone i różnorodne ćwiczenie, mój umysł jest całkowicie i nawskróś uprawnym — powiada Amiel — lecz nic nie pozostało, nic nie zatrzymało się w okach jego sieci. Nie posiada on zupełnie materyi i jest całkowicie formą, nie posiada wiedzy i jest wyłącznie metodą. Życie obeszło się z nim tak, jak śmierć jedynie zwykła się obchodzić z umysłami innych: przygotowało go ono do dalszych przeistoczeń. Od szesnastu lat mogłem spoglądać na świat oczyma świeżo zoperowanego ślepca, tj. unicestwić w sobie wykształcenie wzrokowe i postrzeganie odległości; dziś spoglądam na wszystko i na samego siebie, jak gdyby już z po za grobu“ (II, 292—293).

(D. n.).

Stanisław Brzozowski.

O prawdę.

Artykuł Sceptyka wywołał protesty ze strony lekarzy. Nie mając miejsca na wszystkie, umieszczamy tylko uwagi szerzej traktujące sprawę.

Szanowny Panie Redaktorze!

W nr. 27-ym *Prawdy* umieszczono artykuł p. Sceptyka p. t. „Kartki z dziennika lekarza.“ Autor występuje w nim jako rzecznik obrażanej przez lekarzy moralności dla względów t. z. etyki lekarskiej, jako obrońca poniewieranej przez lekarzy wiedzy dla względów zarobkowych i schlebiania gustom oraz uprzedzeniom publiczności.

Artykuły takie mają zwykle ogromne wśród publiczności powodzenie. Naprzód etyka lekarska jest przez wielu ludzi uważaną za rodzaj bestyi apokaliptycznej, stworzonej przez lekarzy na szkodę chorych, a zwłaszcza ich kieszeni, powtóre każdy episier codzień robi układy ze swem sumieniem i zachwala swój zleżały towar, płonie świętem oburzeniem skoro przekona się, lub tylko usłyszy, że taki, a taki lekarz „zablagował“ przed chorym.

Zapewne, że i taka spowiedź *per procura* może mieć swoje zalety. Nikt z nas nie jest bez winy i zarówno w stosunku lekarzy do publiczności jak i odwrotnie, dałoby się wynaleźć wiele rzeczy nagannych, nieraz wprost zdrożnych. Lecz taka spowiedź wymaga, żeby spowiadający się nietylko był zgryźliwym sceptykiem, lecz jeszcze bacznym obserwatorem życia i dobrym znawcą tych przedmiotów, które za treść swojej krytyki obiera.

Nie można tego niestety, powiedzieć o lekarzu-sceptyku z *Prawdy*. Pomimo dość rozległej i różnorodnej praktyki nie zna on i nie umie poznać ludzi, z którymi ma do czynienia, nie ma pojęcia o tem, co jest etyką lekarską.

Gdyby umiał obserwować ludzi, z którymi ma do czynienia, toby wiedział, że przesądy pod względem medycyny są zbyt rozpowszechnione między publicznością, aby warto było nad tem szaty oburzenia rozdzierać. Nie dziwiłby się więc przekonaniu matki, iż dyfteryt powstał z zaziębienia, że stróż chce maści dla usunięcia bólu w ręce, że kto inny pyta się, czy herbata nie szkodzi przy zażywaniu żelaza. Gdyby p. Sceptyk umiał obserwować ludzi, to nie dziwiłby się, że matce przyjemniej jest, jeśli lekarz wysłucha jej choćby nieco przydługiego gadania przy chorem dziecku, że obejrzy je starannie i okaże zainteresowanie się chorobą, zamiast pisać w milczeniu receptę po zajrzeniu jedynie dziecku do gardła. Publiczność szuka w lekarzu człowieka spółczującego jej cierpieniom, człowieka, przed którym wywnętrzyć się może, lecz nie jedynie maszyny uzdrawiającej. Całkiem już nie szuka ona wśród lekarzy swoich zoilów, którzyby matce chorego dziecka powiedzieli: „Głupia pani jesteś; dyfteryt nie pochodzi z zaziębienia“; lub eleganckiej pacyentce autora: „Obżarłaś się, i dlatego chorujesz!“ Gdyby lekarz coś podobnego powiedział, byłby wyrzuconym za drzwi i bardzo słusznie, boć nikt nie ma obowiązku słuchać morałów od obcego człowieka, a tem bardziej od lekarza. Przyznać się do niewiadomości, do winy jest bardzo przykro; dowód tego daje nam sam autor-sceptyk, gdy np. swą własną chęć zarobienia trzech rubli zamiast rubla, chęć rzeczywiście nieco zdrożną, zwala na kark przekonań panujących wśród ogółu lekarzy. Gdyby wreszcie autor umiał choć trochę obserwować swych chorych, to by się nie dziwił, że do umierającego suchotnika wezwano lekarską znakomitość, albo że chory wymaga od niego przepisania kropli na apetyt, lub wreszcie, że roi sobie różne projekta na przyszłość. Życie jest większości ludzi zbyt miłem, aby ze stoicyzmem rozstawali się z niem, aby nie próbowali go we wszelki sposób ratować; obawa śmierci jest zbyt wielką u ludzi, aby się do ostatniej chwili życia nie mieli łudzić nadzieją wyzdrowienia. Rzeczy te mogą dziwić i oburzać jakiegoś pesymistę - filozofa; dla lekarza są one rzeczą codzienną, mogącą jedynie współczucie obudzić.

Autor-sceptyk żali się co chwila na etykę lekarską, która jakoby tylko przynosi chorym szkodę i samych lekarzy prowadzi na bezdroża kłamstwa, obłudy, chciwości etc... Pod tym względem p. Sceptyk ma jeszcze gorsze i mętniejsze pojęcie o etyce lekarskiej, niż „laicy,“ którym nieraz w swym artykule urąga; dziwna to bowiem według niego etyka, która nietylko stworzoną jest na to, aby oszukać, obedrzeć, wyeksploatować bliźnich, lecz jeszcze dokuczyć tym, co ją dla siebie ustanowili!

Trzeba raz skończyć z panującemi nieporozumieniami co do t. z. etyki lekarskiej. Istnieje etyka ogólna, obowiązująca wszystkich ludzi jednakowego poziomu moralnego, lecz istnieć muszą specyalne etyki pewnych zawodów, normujące stosunki zawodowców do siebie i do innych ludzi. Że istnieje potrzeba takiej etyki, świadczy to, iż pewne zawody wyrobiły sobie nietylko specyalną etykę, lecz nawet skodyfikowały ją i że strożem tych specyalnych kodeksów jest w wielu razach państwo. Czem bowiem innem

niż skodyfikowaną etyką zawodową jest prawo handlowe, gwareckie, morskie, miejskie i t. d. Nikt nie twierdzi jednak, że ponieważ kupcy nieraz oszukują, więc kodeks ich pochwala oszustwo, lub co najmniej toleruje je; nikt nie twierdzi, że prawo morskie pozwala z głodu zjadać swych bliźnich, bo nieraz rozbitki na okręcie nie mają innego pożywienia i, że te rzeczy zdarzyły się nam w przeszłym wieku. Tylko co do jednej nieskodyfikowanej jeszcze etyki lekarskiej panuje przekonanie, że wymyślona jest ona na zgubę pacyentów. Jeżeli jednak, choć w części zrozumiałą jest niechęć publiczności do etyki lekarskiej, to już wprost zabawnie brzmi utyskiwanie na nich w ustach lekarza, chociażby on był sceptykiem. Bo czyż to etyka nakazuje lekarzowi mówić, że zapóźno wezwano go do chorego, któremu pękł anewryzm sercowy?.. Mogą być lekarze nawet nie sceptycy, którzy w ten sposób okłamują otoczenie zmarłego, lecz gdzież to sceptyk wyczytał, że etyka lekarska wymaga rozpowszechniania wśród publiczności wiary we wszechmocność sztuki lekarskiej? Sceptyk zwala na błędy w kodeksie etycznym własne... nieco nieprzyzwoite postępki. Nie wiem także, czy istnieje przepis w etyce lekarskiej, aby lekarz miał starać się wziąć trzy ruble za wizytę zamiast rubla. Natomiast już nie w etyce lekarskiej, ale ogólnej istnieje przepis o okazywaniu współczucia nieszczęśliwym i w imię tego, lecz nic dla zarobienia trzech rubli, powinien był p. Sceptyk wysłuchać cierpliwie skarg matki chorego dziecka. Równie nie lekarska, lecz ogólno-ludzka etyka zabrania odbierania wszelkiej nadziei choremu suchotnikowi; ta również ogólna etyka wymaga od lekarza, aby zapisał mu niewinny środek na apetyt, gdyż utrata paru złotych na lekarstwo jest niczem wobec tego, że chory ma przekonanie, iż o nim myślą, że mu pomagają, że nie jest ostatecznie zgubionym.

Sceptyk przytoczył tylko jedną okoliczność, gdzie etyka lekarska wtrącić by się mogła, t. j. że wezwano bez jego wiadomości do chorego suchotnika „znakomitość“ lekarską. Rzeczywiście nasza etyka zawodowa zabrania tego. Lekarz nie powinien iść sam do chorego jeśli go leczy i *w dalszym ciągu leczyć będzie inny lekarz.**) Może ten przepis niedogodnym jest dla publiczności, może błędnym, lecz w danym wypadku zastosowanie się do niego byłoby bardzo pożytecznem dla chorego i obu lekarzy. Chory nie byłby narażonym na to, że jeden lekarz daje mu radę niewykonalną; że następnie inny każe mu czekać z wyjazdem parę tygodni, aż się stan jego poprawi, a więc pośrednio daje do zrozumienia, że obecny stan jest bardzo zły. Co do lekarzy, to zachowanie w tym razie przepisów etyki dałoby im możność porozumienia się. Uchroniłoby „znakomitość“ od pomyłki, gdyby p. Sceptyk zwrócił jej uwagę, że ani stan chorego, którego on obserwuje dawno, ani materyalne jego środki nie pozwalają na wyjazd za granicę. uchroniłoby również p. Sceptyka od konieczności powiedzenia częściowej prawdy choremu, co ani przyjemnem nie jest, ani zgodnem z zasadami etyki *ogólnej*.

Przechodzimy wreszcie do trzeciego punktu t. j. wiadomości medycznych lekarza-sceptyka. Tu musimy wyjaśnić zasadniczą różnicę, jaka zachodzi między sceptykiem a ignorantem. Wprawdzie jak jeden tak i drugi twierdzą nieraz (ignorantowi rzadziej się to zdarza), że nic nie wiedzą, sceptyk jednak stara się dojść do tego przekonania po zgłębieniu całej dostępnej mu wiedzy; ignorant nie zadaje sobie tego trudu; kpi on poprostu z tego, czego nie wie i czego zrozumieć nie może. Nie chcę twierdzić, aby p. Sceptyk należał do ostatniej kategoryi wątpiącej; niestety, przykłady sceptycyzmu medycznego z jego strony, nie pozwalają mi go zaliczyć do filozofów-sceptyków. Badanie dokładne dziecka chorego na dyfteryt nie jest wcale specyalną blagą lekarską, obrachowaną na wyludzenie większej ilości rubli z kieszeni matki. Każdy lekarz powinien wiedzieć, że podobne do dyfterytu zajęcie gardła istnieć może przy szkarlatynie; a więc musi obejrzeć skórę dziecka, musi je rozebrać do naga. Jeśli się w ten sposób wykluczy szkarlatynnę (co nie zawsze odrazu zrobić można), to jeszcze i przy dyfterycie zbadać należy stan serca i pulsu, organy oddechowe, a nawet mocz i t. d., zmierzyć ciepłotę i dowiedzieć się o dotychczasowym jej przebiegu. Badanie to jest dlatego niezbędnem, że dopiero zdanie sobie dokładnej sprawy ze stanu wyżej wspomnianych narządów i wydzielin pozwala wyrokować, czy dany wypadek dyfterytu jest ciężkim lub nie. Wnioskować o tem z obejrzenia samego gardła mogą tylko bardzo niewyrobieni i źle uczeni lekarze.

Najbardziej posunięty sceptycyzm naukowy nie pozwala nam na powątpiewanie o istnieniu bakteryi, jak to czyni p. Sceptyk. Nie można wątpić o istnieniu tego, co widzimy pod mikroskopem, co możemy wyhodować w epruwetce. Gdy się wątpi, to się nie dowodzi przez to sceptycyzmu, lecz poprostu tego, że się nigdy nie było w laboratoryum bakteryologicznem i nie patrzało przez mikroskop. Sceptykiem zaś na niewidziane nie wolno być lekarzowi. Nie wolno również lekarzowi nie wiedzieć, że bakterye „unoszące się w powietrzu“ są daleko mniej niebezpieczne, chociażby z powodu swej niewielkiej w niem ilości, od bakteryj będących w mieszkaniu i na sprzętach chorego. W tym ostatnim razie możliwość zarażenia jest daleko większą, a to przez dotykanie się palcami sprzętów, przez jedzenie z zakażonych naczyń i t. p. Dezynfekcya ma więc wszelkie prawo bytu i nie to jest złem, że lekarze ją zalecają, lecz to jest nieszczęściem, że dotychczas nie mamy zupełnie pewnego sposobu dyzenfekcyi.

Jaka to nauka lekarska pouczyła p. Sceptyka, że zapisywanie środków przeciw kaszlowi i bezsenności jest równoznacznem z zapisywaniem specyfików „na miłość“ i „odrośnięcie uciętego palca“? Wszak już student z 3-go kursu medycyny wie z teoryi, a czwartokursista widział nieraz przy łóżku chorego, jak dzielnym środkiem na uspokojenie kaszlu jest morfina i pokrewne jej narkotyki; jak nieraz zbawiennie działają na wywołanie snu chloral, sulfonal, a nawet brom. A może p. Sceptyk popełnił tylko *lapsus calami* i dla pięknego porównania odmówił działania wyżej wspomnianym środkom, chcąc tylko powiedzieć, że nie leczą one choroby. Ależ o tem wiedzą nawet inteligentniejsi laicy, którym Sceptyk tak urąga w swoim artykule i z pewnością żaden lekarz nie twierdzi, że morfina lub chloral leczą suchoty. Lecz lekarz mający tak stosunkowo dużą praktykę, jak Sceptyk, powinien wiedzieć, że bez morfiny suchotnicy często się obyć nie mogą. Napady kaszlu są nieraz rzeczą tak męczącą dla chorego, iż podanie mu narkotyku dla uspokojenia kaszlu, jest często również ważnem, jak wysłanie go do stacyi klimatycznej. A czy Sceptyk wie, co to jest bezsenność dla neurastenika lub chorego umysłowo? Czyż i tu podanie środka nasennego będzie równoznacznem lekarstwem „na miłość“? Nie, tu parę nocy przespanych czyni z chorego innego człowieka; nie leczy wprawdzie choroby, lecz dzielnie się przyczynia do lepszego jej przebycia.

Gdzież to p. Sceptyk, czytał podręczniki terapii, w których środki lecznicze zalecane są w ten sposób: „prof. X u „kilku“ chorych zauważył polepszenie od tego, a tego, chociaż u paru chorych środek ten wywołał znaczne pogorszenie.“ Jako żywo tak nielogicznych autorów podręczników teraz już niema. A chociażby nawet byli, to jeszcze lekarz rozsądny nie uczy się terapii z podręcznika, lecz stawia sobie naprzód wskazania, a potem na zasadzie swych wiadomości z hygieny, dyetetyki, terapii ogólnej (nauki o stosowaniu różnych sposobów leczenia i wskazaniach do nich), wreszcie farmakologii (nauki o działaniu środków lekarskich) stara się tym wskazaniom zadość uczynić. Jeśli Sceptyk tak nie czyni, to nie wina podręcznika, lecz małego przygotowania lekarskiego.

Rzeczywiście nie wiem, jak sobie poradzić z tym sceptycyzmem. Sceptyk nie wierzy w istnienie bakteryi, wierzy natomiast mocno, że „wino stare podtrzymuje ubywające siły.“ Ależ w to nie wierzą nawet rozumni laicy. Siły podtrzymuje pokarm, wino zaś pokarmem nie jest. Działa ono tylko podniecająco na serce, tak jak kamfora, kofeina i t. p. Niektóre doświadczenia zdawałyby się nawet przemawiać przeciwko dobroczynnemu wpływowi alkoholu i w tym kierunku. Poco więc Sceptyk, który się tak boi zbogacać aptekarza, nie ma tych skrupułów wobec kupca korzennego i zaleca stare wino choremu, u którego bieda wygląda z każdego kąta? Zaczynam wątpić nietylko o wielkiej praktyce Sceptyka, lecz nawet o tem, że on jest lekarzem.*)

Dr. St. Kamieński.

---

*) Podkreślam te słowa, gdyż publiczność wyobraża sobie, że gdy raz wezwała jednego lekarza, to według etyki obowiązującej lekarzy zmienić jej go wcale nie wolno.

*) Możemy zapewnić, że jest lekarzem. *Red.*

KRONIKA.

Ateneum. Zwykle pisma, skołatane niepowodzeniem, schodzą ze świata wycieńczone, szczupłe, liche. Ostatnie ich numery są objawem agonii. Inaczej się stało z *Ateneum*. Był to organ, któremu ręka okrutna i bezwzględna wymierzyła cios śmiertelny w uniesieniu, w chwili kiedy zaczął tętnić pełnią życia i treści. Ostatni zeszyt wprost imponuje bogactwem i rozmaitości treści, co dowodzi jak zasobna była teka redakcyjna i jak się starano o dobre zapasy na przyszłość. Zeszyt czerwcowy dorównywa objętości trzech zeszytów zwykłych (przeszło 1030 str.) i zawiera następujące prace: „Z powodu klasycyzmu“ K. R. Żywickiego, „W przededniu reformy“ Z. Wasilewskiego, „Opieka nad umysłowo chorymi w Europie“ dr. K. Rychlińskiego, „Prometeusz“ fragment dramatyczny Goethego, „Wyobraźnia Piotra Skargi“ przez J. Zaborskiego, „Miejsce urodzenia ks. Stanisława Konarskiego“ przez St. K., „Poszukiwania literackie“ przez Antoniego Potockiego, „Żywioły plastyczne w poezyi Słowackiego“ przez Ig. Matuszewskiego, „Balzac czy Słowacki“ przez W. Hahna, „Pierwszy utwór Sienkiewicza“ przez Ig. Chrzanowskiego, „Sören Kierkegaard,“ „Albo—albo“ Art. Górskiego, „Przyczynek do historyi wojny północnej“ przez E. Ziviera, „Rola jezuitów w dziejach dawnej Rzplitej Polskiej“ przez Wacława Sobieskiego, „Pan Jabot“ przez G Daniłowskiego, „Krwawa pomsta“ przez W. Makowskiego, „Socyologia uduchowiona“ przez J. H. Steckiego, „Dwie historye literatury polskiej“ przez B. Chlebowskiego, „Gramatyka języka polskiego A. A. Kryńskiego“ przez Hieronima Łopacińskiego, „Z sankcyą czy bez sankcyi“ przez K. Kaszewskiego. „Krzyżacy“ Sienkiewicza przez W. Gostomskiego „Spadkobranie i działy majątkowe włościan w Królestwie Polskiem przez J. Czeraszkiewicza, „Potępieniec“ przez J. Augustynowicza, „Ruch literacki ostatniego dwudziestolecia w Danii i Norwegii“ p. J. Klemensiewiczową, „Systemat indywidualistyczny jako filozofia narodowa“ przez W. M. Kozłowskiego, „Z dziejów literatury i oświaty w Rosyi“ przez A. Brücknera, „Długoterminowy kredyt włościański przez J. Kirszrota-Prawnickiego, „Z najnowszych powieści“ przez H. Gallego, „Rozbiory i sprawozdania.“ Ogółem 28 artykułów dużych, z których znaczną część można zaliczyć do prac bardzo pożytecznych i nawet cennych, mających wartość trwałą nie bieżącą. Świadczy to, jak pismo żyć pragnęło. Tem większa odpowiedzialność moralna wobec ogółu spada na zabójców. Właściciele pisma postąpili jak okrutni ojcowie zamierzchłych czasów despotyzmu rodzicielskiego: „Nie wolno myśleć inaczej, niż ja myślę!“ Jeżeli syn od tego zakazu odstąpił,

był dotkliwie karany. Jedni, surowi i dzicy, w nieokiełzanej popędliwości popełniali morderstwa; powściągliwsi wyrzekali się swego dziecka. Właściciele *Ateneum* nie chcieli pójść śladem tych drugich, pomimo że ich o to proszono. Postąpili z całą bezwzględnością, nie zdając sobie sprawy z tego, że popełniają gwałt, za który społeczeństwo ma prawo rzucić na nich grom oburzenia. *p.*

Wiadomości społeczne. Według wyjaśnień Senatu jeśli suma z wystawionego na sprzedaż majątku za długi prywatne nie pokrywa zaległości podatkowych, skarb ma prawo objęcia majątku.

— *Warszaw. Dniew.* oblicza, że w Królestwie Polskiem obcokrajowców znajduje się z górą 600000 osób, w tej liczbie aż 82% Niemców. Do nich należy 13,529 posiadłości miejskich i wiejskich, wartości ogólnej około 400 milionów rubli. Tak znaczna suma wartości majątków, należących do obcokrajowców, usprawiedliwia się tem, iż w ich właśnie rękach znajdują się największe przedsiębiorstwa przemysłowo-handlowe. Koloniści niemieccy zaludniają prawie cały pas graniczny północno zachodni, gdzie należy do nich około 5,000 kolonij. W powiatach Gostyńskim i Sochaczewskim kolonie niemieckie ciągną się długim pasem, dochodząc do samej Warszawy.

— Z Mińska gub. donoszą, że tam w ostatnich czasach wzrosło wychodźtwo wśród Żydów, trudniących się rzemiosłem. Szukają oni zajęcia na południu Rosyi, wielu zaś udaje się do Londynu i Ameryki, sprzedając wszystko, by zebrać pieniądze na koszta podróży.

Szkoły. Egzaminy konkursowe dla wstępujących do Instytutu technologicznego wyznaczono na dni 16—21 sierpnia włącznie. Prośby o przyjęcie należy wnosić od d. 15 lipca do 10 sierpnia (s. st.)

Ze sztuki. Z inicyatywy artystów malarzy krakowskich zawiązuje się w Krakowie stowarzyszenie zwolenników sztuki stosowanej polskiej.

Zjazd tuberkuliczny odbędzie się w Londynie d. 22—26 b. m. Zgłosiło się już około tysiąca lekarzy.

H. K. T. Przed niedawnym czasem burmistrz miasta Dobrzyce wtargnął w asystencyi żandarmów do kościoła, w którym ksiądz miejscowy udzielał w owej chwili nauki religii i mimo protestów księdza odebrał dzieciom książki. Obecnie ks. arcybiskup Stablewski wysłał do rządu protest przeciwko takiemu wkraczaniu władzy w prawa kościelne, żądając jednocześnie ukarania winnych.

Koleje i komunikacye. Od d. 14 lipca do 14 października r. b. w zarządzie warszawskiego zarządu komunikacyi odbywać się będą egzaminy na techników komunikacyi.

— Postanowiono założyć przy drogach żelaznych specyalne szkoły z kursem 10-miesięcznym dla przygotowania kandydatów na posady telegrafistów kolejowych. Do szkół tych wolno będzie przyjmować kobiety wyłącznie dla obznajmienia się ze służbą telegraficzną pod warunkiem, że liczba ich nie będzie przenosić 10% ogółu uczniów.

Redaktor i wydawca **A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава, 5 Іюля 1901 года. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.